



BASIA KAROLEWICZ

Przyjaciel

NOVAE RES

Basia Karolewicz

Przyjaciel



NOVAE RES

Spis treści

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

Rozdział 1

– Basiu, znajdziesz o dziewiątej czas na kawę? – Adam stał w drzwiach prowadzących do mojego służbowego pokoju. Jego postać przysłoniła wejście. Wysoki i proporcjonalnie zbudowany, z szerokimi ramionami i wąskimi biodrami, dokładnie takimi jak przystało na idealnego mężczyznę. Brązowe, duże oczy, w ciemnej gęstej oprawie rzęs i brwi, wpatrywały się we mnie czujnie. Na twarzy, tuż pod kilkudniowym, lekko poprzepłatany siwizną zarostem, pojawił się łagodny uśmiech. Wystarczyła sekunda, bym dostrzegła każdy szczegół jego wyglądu. Zarysowane mięśnie rąk wyłaniające się spod krótkiego rękawa sportowej, szarej koszuli i długie nogi w ciemnogramatowych jeansach. Uwielbiałam na niego patrzeć. To chyba stawało się już moim nałogiem, zachłanne wpatrywanie się w człowieka, którego kochałam. Nie chciałam stracić żadnego szczegółu. Zazwyczaj największą uwagę skupiałam na twarzy, bo kiedy rozmawialiśmy, to jej obraz miałam tuż przed oczami, ale nie mogłam udawać, że nie dostrzegam innych aspektów jego fizyczności. Takich rzeczy nie można nie zauważyć.

– Oczywiście, że znajdę – odparłam bez zastanowienia. Niemal każdego dnia, od prawie czterech lat, Adam przychodził do mojego biura kilka minut po ósmej, by zapytać o kawę. Tak zaczynał się każdy wspólny dzień pracy. Kiedy Adam nie pojawiał się podczas pierwszych piętnastu minut, zaczynałam się niepokoić. Nie martwiłam się, że coś mu się stało, nie byłam aż takim czarnowidzem, bałam się, że tego dnia go nie zobaczę. A dzień bez Adama nie znaczył zbyt wiele. Wyczekiwałam chwili, kiedy go ujrzę, już od momentu przebudzenia. To była pierwsza myśl każdego mojego dnia, odkąd Adam pojawił się w moim życiu. O poranku przeglądałam się w lustrze, zastanawiając się nad wyglądem. Robiłam delikatny makijaż, by podkreślić intensywnie zielone oczy, i doбираłam pasującą do ubrania biżuterię, wszystko ze względu na niego. Nigdy wcześniej nie przywiązywałam takiej wagi do własnego wyglądu. Od dzieciństwa żyłam w przeświadczeniu, że nie jestem zbyt urodziwa, nie było więc sensu oszukiwać natury i starać się zamaskować błędy. Nie było dla kogo się starać. Jadąc do pracy tramwajem, myślałam o spotkaniu z Adamem, a kiedy się nie pojawiał, co zdarzało się bardzo rzadko, czułam się zawiedziona.

Niezmiennie, słysząc pytanie o kawę, zgadzałam się z entuzjazmem, który trudno było ukryć. Moje oczy błyszczały, a twarz promieniała radością. W efekcie, kiedy tylko było to możliwe, półgodzinną przerwę kawową spędzaliśmy razem. Rytuał, który powtarzał się od dawna, niemal od samego początku, kiedy Adam pojawił się w firmie jako nowy pracownik. Wystarczyły dwa tygodnie, by zaszczepić w nas pierwszą nić porozumienia i od tej pory trzymaliśmy się już razem. Nasze drugie wspólne życie obejmowało czwarte piętro biurowca firmy zajmującej się organizacją wydarzeń kulturalnych w mieście. To był nasz świat. Świat, który dla mnie znaczył wszystko.

Wymieniliśmy uśmiechy i głębokie spojrzenia. Porozumiewawczy, przyjacielski gest, który świadczył o naszej niezwyklej więzi. Bez słów można było wyrazić znacznie więcej... Spojrzenia mówiły to, co słowa próbowały skrywać. I chociaż bliskość między nami zawsze była duża, to w rzeczywistości nasze relacje znacznie ewoluowały przez lata znajomości. Nie raz zdarzały się emocjonalne burze, zawirowania i próby zrywania kontaktu. Utrzymanie bliskiej relacji umożliwiło nam zrozumienie, wsparcie i zaufanie. W mojej głowie panowała bezwzględna zasada, że przyjaciel jest najważniejszy, nawet kosztem mnie samej.

Od chwili, kiedy Adam zaczął pracę, do czasów obecnych, kiedy stała przed nami nieunikniona wizja rozstania, przeżyliśmy wspólnie bardzo wiele, chociaż nasze życie ograniczało się do pokoju w biurze. Iluzoryczny świat, który razem stworzyliśmy był chwiejny

i mało zasadny. Nie łączyło nas nic rzeczywistego.

Nie wiem, czy zmiany naszej „przyjaźni” z perspektywy postronnego obserwatora były dostrzegalne na pierwszy rzut oka, ale dla mnie była to sprawa integralna. Osobiste życie każdego z nas zmieniało się, więc i to, co było między nami, musiało ulec metamorfozie. Nie zawsze były to przyjemne momenty. Często czułam, że nasza przyjaźń nie przetrwa, że są granice, po przekroczeniu których powrotu już nie będzie. Adam nie odbierał tak silnie emocjonalnych zmian w naszej relacji. Nie wiem, czy wynikało to z faktu, że nauczony życiowym doświadczeniem miał świadomość, że potrzeba o wiele więcej niż nasze nieporozumienia, by rozdzielić bliskich ludzi.

A może po prostu nie dostrzegał tego, co dla mnie było oczywiste. W jego głowie nie działo się tak wiele, nie komplikował spraw, które nie były trudne i z pewnością nie poddawał dogłębnej analizie wszystkiego, co działo się między nami. Żył tym, co przynosiła rzeczywistość, nie zagłębiając się w jej znaczenie. Dla niego wszystko było proste. Ja natomiast, na własną zgubę, nieustannie zmagalam się z emocjami i próbowałam poukładać w głowie uczucia. Chciałam, by przyjaźń trwała niezmiennie, ale miłość do Adama, która się zrodziła w moim sercu, znacząco mi w tym przeszkadzała. Nie potrafiłam wyeliminować zazdrości, nie umiałam tak zupełnie odciąć tych emocji na rzecz łagodnej i spokojnej przyjaźni. Nie mogłam nie myśleć o innych kobietach w jego życiu, mimo wielu prób, nie byłam w stanie odpuścić.

Za wszelką cenę starałam się, by rola przyjaciółki była najważniejsza, ale ta część mnie, która nie mogła spać po nocach z miłości, zdecydowanie zbyt często przejmowała panowanie. Może to był najważniejszy powód, który sprawiał, że przyjaźń widziana z mojej perspektywy była czymś zupełnie innym niż ta, którą on dostrzegał.

Adam tego dnia, jak niemal każdego, uśmiechał się radośnie, przychodząc do mojego służbowego pokoju. Nieważne, co działo się w jego życiu osobistym, zawsze pojawiał się z uśmiechem na twarzy. Czasem tylko ten uśmiech był jakby mniej radosny, może trochę bardziej wymuszony, ale rzadko dawał po sobie poznać, że coś jest nie tak. Z reguły nie chciał mnie martwić. Mimo że prędzej czy później razem docieraliśmy do źródła problemów. Kila słów rzuconych mimochodem w przestrzeń odkrywało obraz świata, którym starał się mnie nie niepokoić.

Kiedy dwoje ludzi zna się tak dobrze, to w zupełności wystarczy jedno spojrzenie, by wiedzieć, że coś się zmieniło. Odszukać element układanki, który nie pasuje, nieznanymi pierwiastkami, który automatycznie budzi niepokój. Ciężko to opisać, ale rozszyfrowanie wiadomości, która jest pozawerbalna, nie jest wcale trudne w przypadku najbliższego przyjaciela. Powiązania empatyczne między bliskimi są na tyle silne, że trudno ukryć stan własnej duszy, nawet jeśli włoży się w to dużo wysiłku.

– Cudownie, że ci pasuje. Za godzinę będę. Mam nadzieję, że jest mleko? – zapytał Adam, chociaż to zdecydowanie nie było pytanie, na które powinienam udzielić odpowiedzi. Oboje wiedzieliśmy, że mam w lodówce mleko, mimo że od wielu już lat pijałam czarną kawę. Codzienna wizyta Adama, będąca wyznacznikiem tego, co w moim życiu najważniejsze, sprawiała, że nigdy nie zapomniałam o przyniesieniu do pracy zapasu mleka. On nie był w stanie przemóc się, by wypić czarną kawę, a ja spełniałam jego pragnienia, podświadomie bojąc się, że gdyby nie mleko, to może Adam wcale by się u mnie nie pojawiał. Kawa przecież była dobrą przykrywką, dobrym pretekstem do nieustającego kontaktu. Nikt inny w biurze nie interesował się, dlaczego kupuję produkty, których nie używam. Nawet Martyna, najlepsza koleżanka z pracy, zjawiała się z prośbą o pożyczkę niezbędnego dodatku do kawy, kiedy niespodziewanie kończyły się jej zasoby. Zdarzało się to sporadycznie, ale wiedziała, że u mnie znajdzie to, czego szuka. Na mojej półce od lat stało mleko dla gości, chociaż właściwie tylko jedna osoba

regularnie z niego korzystała. Kiedy Adam przestanie pracować, będę musiała pozbyć się nawyku kontrolowania stanu mleka w butelce, bo szanse na to, że przyjdzie na kawę, będą znikome. Ludzie, którzy odchodzą, nigdy nie wracają, a jeśli nawet pojawiają się od czasu do czasu, to nigdy nie są tymi, którzy odeszli.

Wiem z wyprzedzeniem, że przyjaciel pojawi się w moim biurze. Korytarz, który doń prowadzi, jest długi. Mam czas, by psychicznie przygotować się na jego wizytę. Po kilku latach pracy bezbłędnie rozpoznaję sposób chodzenia wszystkich współpracowników, ale z reguły czekam tylko na odgłos jego kroków. Są spokojne i łagodne jak on. Poznają go po pierwszych sekundach i wyczekuję w napięciu na moment, kiedy pojawi się w drzwiach. I chociaż czuję silne emocje towarzyszące oczekiwaniu, nigdy nie obracam się wcześniej. Nie chcę, by Adam miał świadomość, że z utęsknieniem go wypatruję. Nie mogę mu pokazać, że jest dla mnie aż tak ważny, nie chcę go przestraszyć. Reaguję dopiero, gdy słyszę jego miękki, melodyjny głos. To moment, w którym przestaję udawać, że cokolwiek poza nim ma dla mnie znaczenie.

Najgorsza jest świadomość, że za kilkanaście dni te kroki znikną bezpowrotnie z mojego życia, zostawiając po sobie pustkę, której nie zapełni żadna muzyka. Najpiękniejsza symfonia nie zastąpi mi tego, co jako jedyne w ostatnich latach wprawiało moje serce w nienaturalne podniecenie. W nocy śnię o tych krokach, czuję zapach Adama, a kiedy obracam się, by spojrzeć w jego twarz, dostrzegam tylko pustkę. Proroctwo wkrótce się spełni i, tak jak we śnie, po ukochanym przyjacielu zostanie jedynie otchłań smutku i tęsknoty.

Adam nie ma pojęcia, jak bardzo będę tęskniła za tym odgłosem. Nie wiem nawet, czy zorientował się, że za każdym razem, kiedy się pojawia, jestem w stanie gotowości – naprężona jak dobrze naciągnięta struna w instrumencie muzycznym. Gotowa na wszystko, byle tylko doświadczać jego obecności. Przywykłam do tych kroków, do zapachu jego ubrań, do wszystkich drobnych gestów, nawet jego głos rozpoznaję z oddali. Jestem w stanie go zidentyfikować spośród kilkunastu innych głosów. Wiem, że to on – wyczuwam fale, które uderzają o powietrze. Obecność mężczyzny, która przynosi mi radość, bez względu na wszystko.

Niekiedy zatrwożona swoim własnym zachowaniem, bliższym zdecydowanie formie miłośnej obsesji, powtarzam sobie w myślach, że to zupełnie normalne, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nic, z czego należałoby się tłumaczyć. Nikomu poza matką nie opowiadam o Adamie, na wszelki wypadek wystrzegam się słów, które pozwoliłyby odkryć moją tajemnicę. Podświadomie wiem, że nie powinnam tego robić. Nie przyznaję się, że rozpoznaję markę perfum, których używa, czy zapach płynu, w którym od lat płukane są jego ubrania. W sklepach dostrzegam elementy garderoby, które nosi w pracy, żaden szczegół nie umyka mojej uwadze.

Na ulicy, gdy poczuję wytęskniony zapach, za każdym razem obracam się automatycznie w poszukiwaniu jego twarzy. Odruch bezwarunkowy, nad którym nie jestem w stanie zapanować. A kiedy tylko mam choć cień nadziei, że za chwilę go ujrzę, mimowolnie zaczynam drżeć. Serce bije jak szalone, a ja wyczekuję – niczym łowca. Nieważne, co wydarzy się później, liczy się tylko to, że przez ułamek sekundy poczuję jego obecność. Najgorsze, że nawet nie wiem, jak bym się zachowała, spotykając go przypadkiem poza „naszym wspólnym terenem”, ograniczonym jedynie do czwartego piętra biurowca przy ulicy Kasztanowej. Nie umiem przewidzieć swojej reakcji na to, co poczułabym, widząc, że nie idzie sam. Czy przeżyłabym, gdybym zobaczyła Adama spacerującego za rękę z piękną kobietą? Wpatrzonych w siebie z miłością, czule się obejmujących? Może by mnie nawet nie dostrzegł. Przeszedłby tuż obok, nie wiedząc, że stoję zrozpaczona z sercem rozbitym na kawałki. Adam na pewno nie szuka mnie w sylwetkach mijanych przechodniów. Jestem zupełnie osamotniona w swojej miłośnej obsesji i za nic w świecie nie mogę zdradzić tajemnicy przed najlepszym przyjacielem. Oszukuję go każdego dnia, ale nie potrafię kontrolować swoich uczuć. Nie mogę mu wyznać prawdy, bo boję

się, że to zakończyłoby definitywnie naszą przyjaźń, a ja nie wyobrażam sobie życia bez niego.

Próbuję sobie tłumaczyć, że moje zachowanie nie jest czymś, czym należałoby się niepokoić. I że nie mogę nie darzyć tak silnym uczuciem człowieka, który przecież doskonale zna wszystkie moje demony. Wie, jaka jest geneza mojego stworzenia. Nie Basi, która przed laty urodziła się w domu nieopodal świerkowego lasu, ale tej Basi, która opuściła tamten świat i pojawiła się jako zupełnie inna kobieta. Tylko on wie o mnie to, czego nigdy przedtem nie odważyłam się wypowiedzieć na głos. On jedyny poznał prawdę – taką jaka jest, bez znieczulenia. Zabrał część mojego ciężaru, dając mi wiarę, że może jeszcze nie wszystko przepadło. Życie, chociaż było dla mnie złe, nie musi być takie do kresu mych dni. Może jeszcze czeka mnie spokój. Byle tylko demony w mojej głowie nie budziły się zbyt często i nie przypominały mi o tym, co przed laty pozwoliłam ze sobą zrobić.

Ludzie z mojego najbliższego otoczenia nie mają pojęcia, czego mogą dotyczyć moje sekrety. Nie wiem nawet, czy przyglądając mi się, mają świadomość, że pod fizyczną powłoką kryje się coś więcej. Nie umiem rozmawiać o rzeczach ważnych, nie czuję się swobodnie, kiedy wiem, że nie będę w stanie przekroczyć własnych barier. W takich sytuacjach znajomości tracą sens. Zupełnie jak gdybym pozyskiwała do swojego świata nowe kukielki, których nigdy nie będę w stanie obdarzyć prawdziwymi relacjami. Nie dam im zajrzeć w głąb własnej duszy. Mam już dość udawania i mistyfikacji, unikam więc ludzi, bo przy nich czuję się jeszcze bardziej samotna i wyobcowana, niż siedząc sama w ukryciu.

Jedynie przy Adamie słowa są naturalne, a tajemnice odnajdują właściwego powiernika. I nie chodzi o rady czy pocieszenie, wiem przecież, że na moje demony nie ma lekarstwa. Drażą mój umysł od dzieciństwa, od momentu, kiedy im na to pozwoliłam. Nie ma już odwrotu, teraz trzeba zaakceptować towarzystwo, spod którego wpływu wyzwoli mnie jedynie śmierć.

Zanim poznałam Adama, zawsze udawałam. Grałam życie, którego nie było. Opowiadałam o sprawach bez znaczenia i stwarzałam pozorne relacje, dzięki którym uznawano mnie za radosną i przyjazną dziewczynę. Rola szła mi świetnie, a ludzie bez problemu dawali się oszukiwać. Chyba nawet chcieli być oszukiwani, bo ja jako wytwór wyobraźni byłam o wiele ciekawsza i zabawniejsza niż ta prawdziwa Basia, która niemal nigdy przy innych nie wychodziła poza swoją rolę. Adam jako jedyny poznał bolesną prawdę. Pokazałam mu, że za uśmiechniętą twarzą kryje się pokaleczone do krwi dziecko, które nie widzi sensu w trwaniu pośród chaosu. Mój świat był smutny i pusty. Nie było w nim nic, co przynosiłoby prawdziwą radość.

Wciąż nie mogłam wyjść z podziwu, że nikt nigdy nie dostrzegł tej prawdziwej Basi, a przecież wokół mnie od zawsze było mnóstwo ludzi. Przewijali się nieustannie, czerpiąc energię z blasku, który wokół siebie roztaczałam – blasku kłamstwa i złudzenia. Nikt nie rozszyfrował wielkiego oszustwa. Żaden dotychczasowy, bliższy lub dalszy, znajomy nie wpadł na trop człowieka ukrytego pod maską uśmiechu. Wielu z nich szybciej spodziewałoby się nadejścia apokalipsy niż uwierzyłoby, że najszcześliwsza dziewczyna nie jest tym, za kogo się podaje.

W ciągu dnia wszystko wydaje się łatwiejsze, mimo uporczywych myśli o odejściu Adama potrafię zająć się swoimi obowiązkami. W pracy nie nawalam. Zawsze wywiązuję się z obowiązujących terminów, bez względu na to, jak trudno przychodzi mi koncentracja nad problemami, które w istocie rzeczy nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia. Poza Adamem niewiele rzeczy ma dla mnie jakkolwiek wartość. Praca jest ważna, ale tylko dlatego, że on tu jest. Mogę go widywać regularnie, rozmawiać z nim. Kiedy odejdzie, wszystko inne straci sens.

Dostrzegam wścibskie oczy biurowych kolegów, które czujnie mi się przypatrują. Dłużej niż zwykle zatrzymują na mnie spojrzenia, węsząc plotkarskiego łupu, który usatysfakcjonowałyby ich na kilka dłuższych chwil. Być może zbyt trudny do zaakceptowania jest

fakt, że, jak dotąd, zachowuję się zupełnie normalnie. Tak jakbym nie przejęła się wiadomością o odejściu przyjaciela, jakbym chciała manifestacyjnie wykrzyknąć: Będzie, co ma być! I czasem jeden czy drugi próbuje wybadać, co myślę, zaczynając rozmowę od słów: „Nie wyobrażam sobie, jak będzie w firmie bez Adama” lub czegoś w tym tonie. Odpowiadam wtedy, że Adam bardzo cieszy się ze zmiany pracodawcy, zaczyna prawdziwą karierę, czego zawsze pragnął. Recytuję ze spokojem tekst, który przygotowałam na samym początku, kiedy tylko Adam poinformował mnie o swojej rezygnacji. Wypowiadam go z taką lekkością i przekonaniem, jak gdyby to była wieczorna modlitwa, o ile należałabym do grona osób wierzących. A kiedy obracam się na pięcie, łagodnym uśmiechem żegnając przypadkowego rozmówcę, czuję, jak w mojej głowie wzbierają myśli. Prawda jest bowiem taka, że nie umiem sobie wyobrazić tego dnia ani wszystkiego, co po nim nastąpi. Nie chcę myśleć o rozstaniu, chociaż wiem, że jest nieuniknione. Dzień, w którym nadejdzie mój osobisty koniec świata. Dzień, w którym będę musiała przestać marzyć, przestać szukać go wszędzie, bo zniknie raz na zawsze. Czasami może zadzwoni, wyśle jakiegoś krótkiego maila, ale jego obecności nic mi nie zastąpi. Nie będę miała możliwości, by prosić go o spotkanie. Może kiedyś przyjedzie, ale ja do tej chwili będę musiała nauczyć się zapominać. Spróbować wymazać z pamięci najpiękniejszy obraz mojego życia.

Spoglądam nerwowo na zegarek. Do przyjścia przyjaciela zostało niespełna dwadzieścia minut. Oczekiwanie sprawia, że czas zwalnia. Każda minuta torturuje mnie podwójnie. Wyostrzam zmysły, by poczuć go w najbliższym otoczeniu. Ktoś idzie korytarzem, ale to nie on, dźwięk jest zupełnie inny. Obcy i mało przyjemny. Adam na pewno się spóźni, prawie zawsze się spóźnia. Mimo to czekam cierpliwie. Chłonę ten moment wbrew wszelkiej logice. Wiem, że całkowite zaangażowanie i chęć spędzenia z nim każdej dostępnej minuty powoduje, że wkrótce moje cierpienie będzie jeszcze większe. Wiem to, ale wierzę, że człowiek może katować się tylko dla spraw najważniejszych, tylko to nadaje jakikolwiek sens w pustym i pozornym świecie.

Od dnia, kiedy przyjaciel powiedział mi, że odchodzi, nie zastanawiałam się ani chwili, jak powinnam się zachować, mimo że zostałam postawiona przed faktem dokonany. Najłatwiej z pewnością byłoby od razu zacząć się unikać, urwać nieco kontakt, by nie sprawiać sobie dodatkowego bólu. Tak postąpiłaby większość rozsądnych kobiet, ale ja, niczym ćma pchająca się do ognia, postawiłam wszystko na jedną kartę. Nie byłam w stanie poświęcić ani jednej chwili z Adamem, nawet jeśli cena miała być wysoka. Odkąd po raz pierwszy poczułam tę niesamowitą bliskość, wiedziałam, że ten mężczyzna przyczyni się do mojego upadku. Wiedziałam też, że się na to zgodzę bez wahania. Nie traciłam w oczach innych, bo nigdy o nic nie prosiłam – nieme błaganie o miłość byłoby co najmniej upokarzające. Adam był przecież moim przyjacielem, więc chęć spędzenia ostatnich wspólnych chwil miała jak najbardziej logiczne wyjaśnienie. Trzymałam się go jak tonący brzytwy.

Z rozmyślań wyrwał mnie odgłos kroków – niczym muzyka rozbrzmiewał wśród szarych ścian korytarza. Nie wiem, co było tak wyjątkowego w tej melodii, ale budziła we mnie radość. Długie, spokojne kroki sunęły przez wąskie pomieszczenie, zmierzając do mnie. Uśmiechnęłam się, wiedząc, że dosłownie za moment w drzwiach pokoju pojawi się Adam. Nie mogłam się mylić. Niektóre dźwięki tak mocno wwiercają się w umysł, że jeszcze długo pozostaje po nich echo. Za kilka sekund przyjaciel przekroczy drewniany próg i usiądzie w fotelu. Niezmiennie z trzech dostępnych wybierze ten, który znajduje się najdalej od wejścia. Od pierwszego dnia, kiedy na nim usiadł, już zawsze go wybierał – jak się okazało, właściwie. Tak mocno jestem przywiązana do wizji Adama na tym właśnie fotelu, że kiedy inny pracownik na nim siada, mam ochotę krzyknąć i zmusić go do zmiany miejsca. Dla mnie to takie oczywiste, takie proste. Bo jak można bezkarnie zajmować miejsce przypisane na stałe do Adama. A przecież to tylko mebel, zupełnie bez znaczenia.

Zabawne, jak zakochana kobieta potrafi dopisywać ideologię do wszystkiego, co jest związane z obiektem jej westchnień. Absurdalne tłumaczenia czy znaki nagle nabierają nowego znaczenia. Bo co może być cenniejsze niż najmniejszy szczegół jego egzystencji?

– Już jestem, Basiu.

Rozdział 2

Adam usiadł na starym, nieco rozklekotanym fotelu, zgodnie z codziennym rytuałem. Siedzisko skrzypnęło kilkukrotnie pod naciskiem jego wysportowanego ciała. Uwielbiałam ten widok. Jego brązowe oczy utkwione w przestrzeni, mocno zarysowana szczęka i silnie wyodrębnione kości policzkowe. Przez te kilka lat Adam bardzo zmężniał, z chłopca o łagodnym uśmiechu stał się pociągającym, pełnym charyzmy mężczyzną.

Długie nogi sięgały daleko poza fotel, a ręce spoczęły nad blatem. Trudno uwierzyć, że już za kilkanaście tygodni fotel będzie stał pusty. Odejście Adama wydaje się takie nierzeczywiste, takie nierealne... wierzyłam, że on będzie zawsze. Świat może ulec katastrofie, ale Adam niezmiennie będzie częścią mojego życia. Trudno było pogodzić się z myślą, że nic w życiu nie jest nam dane na wieczność.

Czajnik elektryczny pstryknął, oznajmiając, że woda jest już gotowa. Zalałam kubki z sypaną kawą, swój do pełna, jego w trzech czwartych, by zostało miejsce na mleko. Adam milczał. Czekał, aż usiądę na fotelu naprzeciwko, i zaczął rozmowę.

– Basiu, musimy wybrać się razem na obiad, niedawno otworzyli dobrą pizzerię na Biskupinie.

– Jasne – odpowiadam, nie patrząc na niego, bo wiem, że to jedna z tych propozycji, z których nic nie wyniknie. Było już takich mnóstwo przez lata naszej znajomości. W ostatnim okresie zdecydowanie rzadziej przyjaciel proponował wspólne spędzanie czasu poza pracą, ale było to uzasadnione. Adam nie miał realnych możliwości, by spotykać się ze mną popołudniami. Oboje o tym dobrze wiedzieliśmy, chociaż Adamowi chyba trudniej przychodziła akceptacja tego faktu. Nie chciał pogodzić się z myślą, że wybory, których dokonał, zamknęły mu wiele drzwi. Adam nigdy nie lubił tracić, to go przerażało, przypominając o nieuchronnej śmierci, o tym, że w życiu jest wiele rzeczy nieodwołalnych. Lęk przed przemijaniem budził go nocami. Wiedziałałam o tym, chociaż nieczęsto opowiadał o swoich demonach.

– Nie masz ochoty? – zapytał, wyczuwając brak entuzjazmu w moim głosie.

– Mam, zawsze mam ochotę spędzać czas z tobą – mówię z nieco gorzkim uśmiechem, bo niekiedy odnoszę wrażenie, że pytania Adama są jedynie po to, by potwierdzić moje zaangażowanie w naszą relację. By Adam mógł upewnić się, że nie stracił ważności od lat mu przynależnej. Zupełnie nie po to, aby zmienić coś w naszym wspólnym świecie.

– A... w porządku, bo jak odpowiedziałas „jasne”, to myślałam, że jest ci to obojętne, że nie masz ochoty na spędzenie czasu ze starym przyjacielem – kontynuuję Adam.

– Adam, o czym ty mówisz? Jak obojętne? Czy cokolwiek, co związane z tobą, było mi kiedykolwiek obojętne? – czuję się nieco oburzona jego insynuacjami. – Za kilka tygodni przeprowadzisz się do miasta oddalonego o sto kilometrów od Wrocławia. Po prawie czterech latach przestaniemy razem pracować. Nie będziemy się już zupełnie widywać, nie będzie żadnych powodów, a co gorsza – możliwości, by spędzać ze sobą codziennie czas. Od ponad roku nigdzie razem nie wychodziliśmy, mimo różnych propozycji z twojej strony, a ty dziwisz się, że nie reaguję z entuzjazmem na propozycję, która jest tylko słowem rzuconym w przestrzeń? – odpowiadam nieco zbyt głośno, mimo że w moim głosie więcej jest smutku niż złości.

– Baśka, zobaczysz, że to jeszcze nie koniec. Głupia ty, nie przejmuj się tak bardzo, zobaczysz, że nic się między nami nie zmieni – odpowiada uśmiechnięty Adam, chociaż w jego głosie jest mniej radości niż można by przypuszczać.

– Adam, przestań, proszę. To nie ma sensu, oboje dobrze wiemy, że tak nie będzie –

mówię, by zakończyć niewygodny temat.

– Pierdoło ty moja, pewnie, że będzie. Prawdziwa przyjaźń nie kończy się nigdy, zawsze mi to powtarzałaś. Nie widzę powodów, żeby coś się miało zmienić między nami.

Uśmiecham się, jak zawsze, kiedy nazywa mnie „pierdołą”. To taka drobna czułość, na którą Adam sobie pozwala.

– Wszystko rozwikła się za kilka tygodni, na razie to tylko zwykłe dywagacje – dodaję.

– Basiu, żyjemy tu i teraz. Nie myśl o tym, co będzie, skup się na tym dniu. Siedzimy razem przy kawie, możemy spokojnie porozmawiać, czego więcej nam trzeba? – mówi łagodnie Adam.

Spoglądam na niego, by wymienić przyjazny uśmiech. To on zdecydował o odejściu, z jego perspektywy sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Adam wyjeżdża spełniać swoje aspiracje, ja zostaję. Realizacja jego marzeń równoznaczna jest ze zniszczeniem moich. A właściwie tylko jednego. To on jest tym marzeniem, jedyną rzeczą, której pragnę. Nieistotne już na jakich zasadach jest w moim życiu, ważne, że jest.

Przypominam sobie te wszystkie złe dni między nami, kłótnie, nieporozumienia i moje zazdrości, które w dużym stopniu niszczyły naszą relację. Bywało, że nie mogłam na niego patrzeć, byłam zła, zawiedziona i niekiedy pragnęłam, żeby zniknął z mojego życia. Pamiętam, jak nie odzywaliśmy się po kilka dni albo omijaliśmy się szerokim łukiem na pracowniczym korytarzu. Ale wiem, teraz już wiem na pewno, że chcę, by został przy mnie. Najgorsze wspomnienie, wszystkie zawody, które mi sprawił, złamane serce, obsesje, bezsenne noce i hektolitry łez, które wypłakałam, są o niebo lepsze niż brak Adama.

Przekonanie, że przestaniemy być razem, jest druzgocące i ciężko napawać się jego towarzystwem, kiedy po głowie wciąż płacze się myśl, że dosłownie za parę chwil tego wszystkiego, co budowaliśmy, już nie będzie.

Przymknęłam oczy, a pod powiekami zaczęły gromadzić się łzy. Próbowałam się powstrzymać, ale czułam, że jest to ponad moje siły.

– Basiu, coś się stało? Jesteś na mnie zła? – pyta Adam, widząc, że coś jest nie tak.

– Nie, nie, wszystko jest dobrze. Przepraszam, głowa mnie zaczęła boleć – mówię, ale nie jestem w stanie zapanować nad łamiącym się od narastających emocji głosem.

W ostatniej chwili zrywam się z fotela i przyspieszonym krokiem przemykam przez korytarz, by zniknąć w łazience sąsiadującej z moim biurem. Pomieszczenie jest niewielkie i rzadko uczęszczane przez innych pracowników. Mogę więc liczyć na kilka chwil spokoju. Łzy ciekną mi po policzkach. Nie chcę, żeby odchodził. Chcę go przytulić, powiedzieć, że go kocham i nie mogę bez niego żyć. Nie chcę świata bez Adama.

Upływa kilka dłuższych chwil, przemykam zaczerwienioną twarz lodowatą wodą, wycieram ręcznikiem i niezauważona przez żadnego z pracowników wracam do biura. Adam wciąż siedzi w fotelu. Kiedy mnie dostrzega, wstaje i mocno przytula. Widzę w jego oczach łzy. Obojgu nam nie będzie łatwo.

– Basiu, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Wiem, wiem. Wszystko będzie dobrze – odpowiadam.

Trzyma mnie w ramionach do czasu, aż rozbrzmiewa dzwonek jego telefonu. Domyślam się, kto to. Delikatnie wymykam się z jego silnych i bezpiecznych ramion.

– Odbierz, i tak już czas wracać do pracy – mówię, by zakończyć niezręczną sytuację.

– Basiu, przyjdę jeszcze później do ciebie – dodaje Adam.

Rozdział 3

Przebudziłam się w środku nocy, wyrwana brutalnie z objęć snu. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Czasem wybudzały mnie złe sny, a czasem stan napięcia, nad którym w ciągu dnia starałam się zapanować. Nocą traciłam kontrolę i na wierzch wypełzały wszystkie moje lęki i niepokoje. Tym razem nie czułam strachu, tylko smutek. Nie potrafiłam zdecydować, co z dwojga złego było trudniejszym przeżyciem. Oba uczucia sprawiały, że stawałam się bezsilna i niezmiennie traciłam chęć do życia. Były tak intensywne, że przesywały mnie niemal na wskroś niczym tysiące cienkich igieł, nie dając o sobie zapomnieć.

Po moich policzkach zaczęły płynąć łzy. Na początku drobne, niepozorne krople toczyły się po twarzy jedna za drugą. Z czasem było ich coraz więcej, poczuły wolność i koniecznie chciały wydostać się poza moje ciało. Łączyły się razem, tworząc wolno płynące strużki. Docierały aż do linii brody, stamtąd jak w przepaść sunęły coraz szybciej przez skórę znajdującą się na szyi, by ostatecznie zniknąć w czeluściach pościeli, zostawiając po sobie jedynie wilgotny ślad.

Za cztery tygodnie Adam odchodzi z pracy. Nawet ciemną nocą, kiedy jestem sama, boję się zwolnić kontrolę nad swoimi emocjami. Nie mam dość odwagi, by wyrzucić z siebie wszystko, cały strach i ból, licząc się z tym, że zbytnia wylewność może w kolejnych godzinach przynieść mi tym dotkliwsze cierpienie. Jeśli utracę kontrolę, to nie wiem, czy będę potrafiła przywołać resztki rozsądku. Nie jestem w stanie przewidzieć, czy uda mi się ponownie wejść w rolę, którą dla siebie stworzyłam. Szczerowość może mnie pogrzyżyć, obnażyć bez reszty wszystkie moje słabości. W ciągu dnia jakoś udaje mi się zapanować nad sobą. Mam na to metody, które przynajmniej częściowo trzymają mnie w akceptowalnych społecznie ramach. Wystarczy umiejętne zajęcie wolnego czasu i stworzenie wokół siebie chaosu, który nie pozwala wsłuchiwać się we własne myśli. Nieustanny dopływ bodźców stymulujących wyłącza funkcję „myślenie”, a to, jak się okazuje, jest dla mnie jedyny właściwy kierunek.

Zbyt wiele osób mnie obserwuje – patrzą uważnie, czekając, aż w końcu ulegnę słabości i przyznam, że niczego w dorosłym życiu nie boję się bardziej niż utraty Adama. Nie mogę płakać ani emanować smutkiem, nie powinnam się afiszować ze swoimi emocjami, które dogłębnie targają moją duszą. To nie jest wskazane. Ze wszystkich sił próbuję się oszukiwać, że kiedy Adam mnie opuści, nie będzie to równoznaczne z zagładą mojego świata. Może ten koniec okaże się nowym początkiem i zamiast obezwładniającej rozpaczycy poczuję wolność? Może to wszystko, w co dotychczas wierzyłam, to tylko iluzja, wytwór wyobraźni niewarty więcej niż wspomnienie?

Istnieje bowiem znikoma szansa, że odzyskam panowanie nad swoim życiem, które dotychczas kręciło się głównie przy Adamie. Krążyłam wokół niego niczym Ziemia wokół Słońca, uległa i zdana na jego łaskę. Nie mogłam powstrzymać go przed odejściem, to była wyłącznie jego decyzja, więc nie miałam prawa ingerować. Adam nie pytał mnie o zdanie, nie konsultował ze mną kwestii, które miały diametralne znaczenie także dla mojego życia. Może właśnie dla mojego najbardziej. Najzwyczajniej w świecie powiadomił mnie o swoich planach, a później zaczął je wcielać w życie. Dążył do realizacji założeń, które nie uwzględniały mojej osoby. Nie skupiał się na przyjaźni, na tym, czym dla mnie będzie jego odejście. Ja bez Adama nie potrafiłam żyć, on beze mnie – owszem.

Klepsydra odmierzająca czas do naszego rozstania została odwrócona. Żółty piasek niczym trucizna przesypywał się szybciej, niż bym chciała, niż byłam w stanie przypuszczać. Budziłam się rano z myślą, ile dni mi jeszcze zostało, a później kładłam się do łóżka, skreślając

kolejną szansę. Błagania czy płacz nie mogły już niczego powstrzymać. Los został zapisany, a ja muszę spróbować przetrwać, muszę to przeżyć, chociaż zupełnie nie mam ochoty. Bo czy warto trwać dalej w bólu i tęsknocie?

W pokoju było duszno, wydawało się, że powietrze stoi w miejscu, nie poddając się żadnym naturalnym ruchom. Firanki nawet nie drgnęły przy otwartym oknie. Chociaż panował pozorny spokój, wiedziałam, że odwróconej klepsydry nic już nie zatrzyma, w przyrodzie nie działa się nic, ale zegar odmierzał kolejne ulatujące sekundy. Jedna mniej, znów kolejna i jeszcze jedna – tak nieustannie. Ludzie pozostawali w uśpieniu, noc zesłała na nich błogie zapomnienie, a ja wciąż uporczywie myślałam o każdej chwili, którą czas odbierał.

Swobodne oddychanie sprawiało trudności. Ostatnie tygodnie przyniosły upały, do których ciężko było się przyzwycząić. Organizm nie przywykł do tak wysokich temperatur. Było gorąco i duszno, zupełnie jak gdyby w przeciągu kilku sekund miała się rozpętać burza, ale ona nie przychodziła. Czekałam i czekałam, ale żaden błysk nie rozerwał nieba. Nie było słychać grzmotów i, mimo wielkich nadziei na oczyszczenie, ziemia płonęła od słońca. Przyroda nie przynosiła ulgi, ani na jotę nie zwalniała uścisku. W dzień temperatury przekraczały trzydzieści pięć stopni, a słońce paliło bezlitośnie, parząc delikatną skórę do czerwoności. Nocą natomiast powietrze stawało się ciężkie i lepkie. Ze stanu lotnego stopniowo przemieniało się w materię bliższą ciałom stałym.

Powinłam zacząć się przyzwyczajać do smutku i tęsknoty bardziej niż dotychczas, bo będę musiała się z nimi zmierzyć. Nie spodziewałam się, że to nadejdzie tak szybko. Łudziłam się, że skoro w ostatnim czasie straciłam tak wiele, teraz już żadna zła wiadomość nie będzie aż tak bolesna. Myliłam się. Jak woda narasta w strumieniu po ulewie, tak w mojej duszy gromadziła się dojmująca tęsknota. Tęsknota, która wyrywa serce z piersi. Tęsknota, która boli jak zaogniona rana. Tęsknota, która sprawia, że człowiek oddałby wszystko, by móc biec w kierunku źródła swojej namiętności. A ja nie mogłam nawet drgnąć, nie byłam zdolna do nazwania na głos uczuć, które dręczyły mnie od kilku lat, przynosząc na przemian niespodziewaną radość i cierpienie odbierające wszystko, łamiące bezlitośnie serce.

Miłość mnie tworzyła, ale i zabijała. Jątrzyła w sercu dziurę, z każdym dniem coraz większą. Mimo że moje serce rozpadało się na kawałki, ciągły ból uzmysławiał mi, że wciąż je mam. Pomimo licznych ran i pęknięć, ono wciąż biło, pompowało życie do zubożonego ciała.

Tęsknotę znam dogłębnie, od kilku lat towarzyszy mi niemal codziennie. Tęsknię tak bardzo, jak tylko można tęsknić za człowiekiem, którego nie można mieć. Za dnia nie pozwalałam sobie na tak absurdalny brak kontroli. Jestem zdystansowana, niekiedy nawet samą siebie potrafię przekonać, że nie jest aż tak tragicznie, że to, co czuję, co rosło we mnie tak długo, w końcu wyleczy czas. Uwolni mnie od uczuć, których sama w sobie nie mam odwagi zniszczyć. Uwolni mnie od szczęścia i cierpienia jednocześnie. Adam jest przede wszystkim moim przyjacielem, zawsze nim był. To ważniejsze niż miłość, której nie umiem okiełznać. Nigdy nie mogłam wyjawić mu tego, co eksplodowało w mojej głowie. Powodów było zbyt wiele. O niektórych z nich nie miałam nawet odwagi myśleć, nie chciałam dopuszczać do siebie świadomości, że być może jestem zdolna do rzeczy, nad którymi nigdy nie powinłam się nawet zastanawiać. Najważniejszy powód, by nie wyznawać Adamowi miłości, to przeświadczenie, że prawda niczego by już nie zmieniała. Było o wiele za późno. Być może już w dniu, kiedy go spotkałam po raz pierwszy, kiedy pojawił się w moim pokoju, było już o wiele za późno. Może nasza miłość nigdy nie miała się zdarzyć? Nie była nam przeznaczona. Byłam w potrzasku, a każde możliwe rozwiązanie wydawało się złe. Mogłam albo postąpić źle, albo gorzej – konflikt tragiczny, który mimo licznych analiz nie tracił na swoim tragizmie ani trochę. Mogłam mu powiedzieć, co czuję, jak bardzo go kocham i że nie wyobrażam sobie życia bez niego... a co

jeśli...

Bezradność była paraliżująca i chociaż widziałam widmo nadchodzącej katastrofy, nie mogłam jej zapobiec. To miało pozostać wyłącznie moją osobistą tragedią. Taka jest kolej rzeczy. Mój świat rozpadał się na kawałki i nikt inny miał tego nie dostrzec. Dzień, który nadejdzie za kilka tygodni – wbrew temu, co można sądzić – nie będzie wcale niezwykły. Nie rozstąpi się niebo, a ja nie umrę z rozpaczy nad utraconą miłością.

W pracy, w której codziennie widuję się z Adamem, odbędzie się pożegnalne przyjęcie. Podobne do wszystkich wcześniejszych spotkań, jakie organizowaliśmy dla każdego odchodzącego pracownika. W ogólnym rozrachunku nie miało znaczenia, czy odejście wiązało się z przejściem na zasłużoną emeryturę czy też ze zmianą pracodawcy. Schemat postępowania w firmie jest taki sam i obowiązuje wszystkich bez wyjątku.

W dniu, kiedy Adam pojawi się po raz ostatni, otrzyma pamiątkowy prezent kupiony specjalnie na tę okazję. Najlepszy kolega z działu zajmuje się organizowaniem sentymentalnych lub śmiesznych prezentów, w zależności od indywidualnych preferencji. W tym przypadku to ja będę musiała przygotować podarunek, który zaspokoi wymagania ogółu, a jednocześnie wniesie mój indywidualny rys. Jak nikt wiem, co pragnę mu dać. Panowie z pewnością przyniosą czerwone wino, a bardziej uzdolnione koleżanki upieką słodkości. Adam we wszystkich budzi pozytywne uczucia i właściwie nie ma osoby, która nie darzyłaby go sympatią. Każdy chętnie pomoże, by przygotować jak najlepsze przyjęcie. A później, zgodnie z planem, współpracownicy z działu będą mu gratulować przejścia do nowej firmy, lepszych zarobków i przeprowadzki do uroczego miasteczka położonego niespełna sto kilometrów od Wrocławia. Pojawią się obietnice odwiedzin i zaproszenia do starej firmy, gdyby tylko dawny kolega znalazł czas.

Dobrze wiem, że kolejnych spotkań w firmie nie będzie. Nikt jeszcze nie wrócił. Czasem odchodzący deklarowali ze łzami wzruszenia, że z przyjemnością powrócą do miejsca, z którym łączy ich tak wiele wspomnień, ale kiedy tylko wychodzili z budynku, przepadali w nowej rzeczywistości, zapominając zupełnie o dawnym życiu. Nie było sensu przywoływać wspomnień o świecie, który już nie miał mocy. Liczyła się tylko chwila obecna. Nowy szef, nowi koledzy i nowe obowiązki. Na przeszłość spadała kurtyna zapomnienia. A i my w firmie z trudem przypominaliśmy sobie imiona dawnych współpracowników. Zawsze bowiem pojawiał się ktoś nowy, kto wypełniał lukę, nie zostawiając miejsca na sentymenty.

Słońce, w dniu, w którym Adam ostatni raz pojawi się w pracy, wejdzie jak w każdy październikowy poranek i zajdzie wieczorem, kiedy w pokoju socjalnym nie zostanie już ślad po uroczystym pożegnaniu. Sprzątaczkę zetrą ostatnie znaki jego obecności. Pokój trzeba będzie przygotować na przyjście nowego dnia. Ludzie w poniedziałkowy ranek wrócą do firmy, opowiadając o tym, co przyniósł weekend, a po kilku dniach, jak gdyby nigdy nic, pojawi się nowy pracownik w miejsce wolnego etatu. To on zacznie teraz skupiać na sobie uwagę wszystkich. Pozornie nie odnotuje się żadnych zmian, wszyscy będą rozmawiać i zajmować się pracą przypisaną do ich działów, tylko mój świat się zmieni. Dla mnie już nic nie będzie takie jak dawniej.

Każda upływająca minuta przypominała mi ze zdwojoną siłą, że wkrótce stracę wszystko. Mam trzydzieści jeden lat. Jestem dorosłą kobietą, która bez większych problemów funkcjonuje w rzeczywistym świecie. Oddaję się pracy na odpowiedzialnym stanowisku, mam znajomych i bezpieczną przystań, podróżuję, a mimo to jedyne, co tak naprawdę ma znaczenie, to Adam.

Gdyby to nie było tak tragiczne i żalodne, to nigdy nie uwierzyłabym, że można dać się tak opętać miłości. Przecież to chore, aby żyć egzystencją człowieka, który nie traktuje mnie inaczej niż jak przyjaciela – taka jest jednak rzeczywistość, w której utonęłam. Zachowuję się jak nastolatka, która nocami „umiera z miłości”. Patetyczne wynurzenia, które w moim przypadku są

niestety prawdziwe. Boże! Jak to kurewsko boli. To takie nierzeczywiste, takie absurdalne, jak powieść z serii dla kobiet. Tyle że tam zawsze jest miłość i ludzie są ze sobą szczęśliwi. Moje zakończenie nie może być takie. Jedyny banał w tej historii to fakt, że jestem szczeniacko zakochana w przyjacielu.

Na wyświetlaczu druga piętnaście. Czerwone cyfry – niczym uliczne światło stopu – przypominają o zakazanej miłości.

Rozdział 4

Pamiętam tę rozmowę. Odgrywałam ją w myślach niezliczoną ilość razy, powtarzając każde słowo po stokroć. Mogłabym ją recytować ze łzami w oczach, wyrwana z najgłębszego snu. Katowałam się wielokrotnie brzmieniem tamtej pamiętnej wiadomości. W głowie próbowałam zmieniać scenariusz, ale za każdym razem okazywało się, że tylko to jedno zakończenie pasuje. Wszystko inne było nierealne.

To było niecały miesiąc temu, tuż po jego powrocie z urlopu. Tak bardzo na niego czekałam, rozłąka uświadomiła mi kolejny raz, że nie jestem gotowa na jego zniknięcie. Dzień, w którym powiedział, że znalazł nową pracę, był jednym z najtrudniejszych. Wiedziałam, że czegoś szuka, znałam jego sytuację i powody, jakimi podyktowana była ta decyzja. Sprawdzałam nawet jego CV, starając się, by wypadł jak najlepiej, a jednak łudziłam się, że jeszcze nie rozesłał zapytań, że może wizja zmiany pracodawcy jest na razie planem, który nie wyszedł poza nasze rozmowy. W głębi serca miałam nadzieję, że wizja utraty kontaktu ze mną powstrzyma Adama przed zbyt dużym pośpiechem. Gdyby chociaż w połowie był przywiązany do mnie tak bardzo jak ja do niego, to decyzja o zmianie zatrudnienia z pewnością nie należałaby do najprostszych. W momencie, kiedy mówił mi, że dostał nową pracę, kolejny raz uświadomiłam sobie, jak bardzo go kocham. Zrozumiałam, że teraz stracę go nieodwołalnie, nie będzie już żadnych szans. Nie spodziewałam się, że to nastąpi tak szybko. Nigdy nie odważyłabym się przyznać, że w podświadomości tliła się nadzieja, że już zawsze będziemy razem... i jeżeli jedyną możliwością, by widzieć się niemal codziennie, była wspólna praca, to byłam w stanie na to przystać. Dla Adama zgodziłabym się na wszystko.

– Cześć, Basiu! – usłyszałam jego głos po raz pierwszy od dwóch tygodni. Tembr był głęboki i melodyjny, bił od niego spokój. Zupełnie jak gdyby tych kilkunastu dni rozłąki nie było, jakbyśmy nie widzieli się zaledwie od godziny. Adam wypoczywał poza miastem, a ja, mimo że zostałam w pracy, nieustannie o nim myślałam. Zastanawiałam się, co aktualnie robi, z kim jest, o czym myśli, czy za mną tęskni? Ja tęsknić nie przestawałam, chociaż wiedziałam, że nie powinnam mu się narzucać. Raz czy dwa nie wytrzymałam oczekiwania i wysłałam do niego wiadomość. Adam najwyraźniej nie odczuwał potrzeby, żeby kontaktować się ze mną. Odpisał wprawdzie, ale były to zdawkowe odpowiedzi. Miałam wrażenie, że tylko z poczucia obowiązku nie zostawił mnie bez słowa. Chciałam zapytać, dlaczego się nie odzywa. Czy jest jakiś powód? Czy zrobiłam coś nie tak? Chciałam wiedzieć, czy zupełnie mu mnie nie brakuje, pragnęłam też dla odmiany zgłosić swoje pretensje za jego odcinanie się, za brak inicjatywy. Wiedziałam jednak, że jako przyjaciółka nie mogę pokazać, że zależy mi aż tak bardzo. Czekałam więc cierpliwie do jego powrotu, chociaż wielokrotnie odczuwałam złość i zawód. Nawet idealny Adam potrafił zachowywać się nie fair, kiedy odpływał w swoim świecie. Tam nie było dla mnie miejsca.

– O... cześć Adam, wróciłeś już? – zapytałam lekkim tonem, chociaż nie potrzebowałam odpowiedzi. Dobrze wiedziałam, kiedy wraca, odliczałam dni do tej chwili. Czas bez niego dłużył się mi niemiłosiernie, nie miał znaczenia... nie był nic wart.

– Tak, dzisiaj jestem pierwszy dzień – odpowiedział, nie mając zapewne pojęcia, że tęskniłam rozpaczliwie. Zanim zdążyłam się odezwać ponownie, Adam, najpewniej wyczuwając moje nastawienie, zaczął mówić. – Basiu, przepraszam, że się nie odzywałem, wiesz, ja czasem taki jestem, że odpływam za bardzo. Odcinam się od rzeczywistości i nie zawsze potrafię wrócić. Mam nadzieję, że nie poczułaś się urażona.

Miałam wrażenie, że mówi to ze skrucą, być może faktycznie było mu przykro.

W zwyczaju miałam rozgrzeszenie Adama. Może po prostu nie chciałam wiedzieć, jaka jest prawda. Wolałam wierzyć, że jestem dla niego ważna, dlatego mimo jawnych przesłanek przyjmowałam każde tłumaczenie.

Kiedy nie odpisywał przez kilka dni, wmawiałam sobie, że jest zajęty. Na początku naszej znajomości często proponował wspólną kawę na mieście czy kino, z których to propozycji rzadko kiedy cokolwiek wynikało. Były rzucane w przestrzeń, niby bez konkretnej daty wykonania, a ja czekałam, aż powie, że to właśnie dziś. Obietnice nie miały pokrycia, a ja sądziłam, że Adam jest zapracowany, że jego muzyczna pasja pochłania tak dużo czasu i dlatego się nie widzimy. Nie chciałam dopuszczać do świadomości, że prawdziwy powód jest tylko jeden, od zawsze niezmienny. Adamowi po prostu nie zależało. Z czasem sytuacja znacznie się skomplikowała i faktycznie nie było możliwości, by spotykać się popołudniami, ale ja wciąż wmawiałam sobie, że gdyby tylko mógł, na pewno spędzilibyśmy razem więcej czasu. Do dziś przekonuję samą siebie, że Adamowi zależy na mnie, że jestem ważną częścią jego życia, chociaż nie potrafi tego okazać. Wierzę więc w każde jego słowo, a on potrafi pięknie mówić. Wystarczy jedno umiejętnie wypowiedziane zdanie, a jestem w stanie przeprosić przyjaciela za wszystko.

– Martwiłam się... ale rozumiem. Urlop to urlop, mogłeś zapomnieć o starej przyjaciółce – mówię niby rozbawiona, jakby mi nie zależało i jakbym przez te dwa tygodnie wcale nie myślała o nim w każdej możliwej chwili.

– Basiu, nie zapomniałem o tobie, nie muszę ci chyba powtarzać, jak ważna jesteś dla mnie. Często o tobie myślałem, ale wiesz, że nie lubię pisać wiadomości – mówi. A ja wiem, że to wystarczy, abym przez jakiś czas wierzyła w każde jego słowo. Słyszę dokładnie to, co chcę. Ja to wiem i on też.

Spoglądam w jego oczy i dostrzegam, że coś się nie zgadza. W jego obliczu rysuje się jakaś tajemnica, o której mi nie mówił. Kiedy dłużej się przyglądam, nabieram przekonania, że jednak coś się zmieniło, tylko jeszcze nie jestem w stanie określić co. Zaczynam odczuwać niepokój, nie lubię, kiedy przyjaciel ma tajemnice. Adam ewidentnie chce mi coś powiedzieć, widzę to w wyrazie jego twarzy, ale jeszcze nie zdecydował, jak to zrobi. Wiem, że skoro się waha, to informacja będzie bolesna. Nie chcę myśleć, chciałabym już wiedzieć. Najgorsza prawda jest lepsza niż brak wiedzy, skąd nadejdzie ostateczny cios.

– Basiu, muszę ci coś powiedzieć – Adam przedłuża tę chwilę w nieskończoność, jakby informacja, której jeszcze nie wypowiedział, nie istniała realnie. Jeśli się odważy, nie będzie można już udawać, że nic się nie stało.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że szukam pracy? Sprawdzałaś moje CV kilka tygodni temu.

– Tak, pamiętam – odpowiadam szybko.

Teraz już wiem, co się zmieniło. Wiem, co zaraz nastąpi, ale pozwalam mu mówić. Nie mam wyboru.

– Na kilka dni przed urlopem złożyłem dokumenty do firmy Franto. Odezwali się do mnie tydzień temu. W zeszłą środę byłem na rozmowie kwalifikacyjnej i zaproponowali mi pracę. Zaczynam za trzy miesiące.

Milczałam, nie chcąc przerywać ciszy, która zapanowała w pokoju po tym, jak Adam przemówił. Poczułam, jak gdyby ktoś uderzył mnie obuchem w głowę. Cios był mocny, nie spodziewałam się tego. Nie dziś, nie tak szybko. Dobrze rozumiałam, co oznacza dla mnie ta informacja. W jednej chwili ogarnął mnie smutek tak wielki, że ciężko byłoby go opisać. Nasza wspólna historia właśnie się kończyła. Adam ją kończył, zawsze to on podejmował decyzje dotyczące naszych losów. Ja tylko czekałam na wyrok i nie protestując, przyjmowałam go. To

miał być już koniec. Teraz naprawdę Adam mnie zostawi, a ja nie potrafię przecież bez niego żyć.

Próbowałam kilkakrotnie, ale nie byłam w stanie zapanować nad obsesyjnym myśleniem o nim. Im bardziej się starałam, tym więcej poświęcałam mu czasu. Skupiałam moją uwagę do granic możliwości. Nie potrafiłam nie cieszyć się na jego widok, nie tęsknić za jego głosem, za zapachem jego ciała. Boże, to jakiś koszmar! Dlaczego mnie to spotyka? Zniosłam już tyle bólu, nigdy w moim życiu nie było łatwo, a teraz będę jeszcze musiała rozstać się z najważniejszą osobą w moim życiu. Adam odchodzi.

Powstrzymywałam łzy, które zaczęły wyrwać się spod zaciśniętych powiek. Głos zaczynał mi się łamać, cała radość ze spotkania zamieniła się w rozpacz w związku z nieuniknionym. Kolejny cios.

– Czyli spełniają się twoje marzenia. Jeśli się cieszysz, to ja też – mówię łamiącym się głosem, chociaż myślę zupełnie co innego. Chce mi się wyć i krzyczeć jednocześnie. Dlaczego on mi to robi?

– Basiu, wiesz, że nowa praca nic między nami nie zmieni. Będę przyjeżdżał na weekendy, będziemy się regularnie widywać, tylko przestaniemy razem pracować.

Nie odpowiedziałam, nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. Nie miało nawet znaczenia, że miejsce jego nowej pracy mieściło się w miasteczku położonym o sto kilometrów od Wrocławia, bo i tak poza pracą nasza przyjaźń nie funkcjonowała. Niewiele zatem zmieniał fakt, czy Adam wyjedzie na koniec świata, czy też przeniesie się do biurowca w innej dzielnicy miasta. Po moich policzkach spływały łzy. Próbowałam się uspokoić, ale nic to nie dawało. Nie mogłam ich dużej powstrzymać. Obróciłam się tyłem do przyjaciela, by nie widział mojej twarzy.

Adam podszedł bliżej. Stał o kilka centymetrów ode mnie. Fizycznie czułam jego obecność.

– Basiu, nie płacz. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Nic się nie zmieni między nami.

Odwrociłam się powoli i spojrzałam na niego. Próbowałam się uśmiechnąć przez łzy. Był to nieco pokraczny uśmiech, ale nie chciałam go niepokoić.

– Wiem, Adam, że będzie dobrze. Najważniejsze, żebyś był szczęśliwy, reszta nie ma znaczenia. Przepraszam, nie chciałam się rozpłakać. Po prostu nie spodziewałam się, że tak szybko dostaniesz propozycję pracy. Liczyłam, że od chwili kiedy zaczniesz szukać, minie przynajmniej rok.

Adam przytulił mnie mocno, a w jego oczach zaiskrzyły łzy. Uścisk trwał znacznie dłużej niż zazwyczaj. Miałam wrażenie, że nie chce mnie puścić, jak gdyby bał się, że zniknę. Nie oponowałam, korzystając z każdej możliwości, żeby poczuć jego bliskość. Kiedyś te chwile pomogą mi przetrwać samotność.

O nic więcej nie pytałam, a i przyjaciel nie chciał już mówić. Wiedziałam, że nie tylko mnie będzie ciężko się rozstać.

Nie wiem, czy on także bał się łez, ale chwilę później wyszedł z mojego biura, tłumacząc się ważnym spotkaniem. Obiecał, że wróci przed południem na kawę. Liczyłam, że do tego momentu będę w stanie ułożyć sobie cokolwiek w głowie. Przetrywam kolejne godziny, a serce nie pęknie z żalu. Nie mogłam reagować tak emocjonalnie. Nie próbowałam go zatrzymać, nie miałam takiego prawa, mimo że oddałabym wszystko, by został ze mną na stałe, na zawsze, na wieczność. To i tak za mało, by nasycić się jego obecnością.

Rozdział 5

W weekend dzwoniła matka. Regułą było, że kilka razy w tygodniu sprawdzała, co się ze mną dzieje. Od dziecka nie lubiłam rozmów telefonicznych. Wydawały mi się zbyt sztuczne. Gesty czy mimika nie miały wówczas żadnego znaczenia, bo człowiek skupiał się na konkretnych, minimalistycznych wręcz faktach. Nie można było otworzyć duszy, bo jak opowiedzieć w przeciągu pięciu minut, jak się żyje? Jak wyselekcjonować to, co mnie porusza, ze zwykłych, mało istotnych, trywialnych spraw. Pewnie dlatego ograniczałam kontakt telefoniczny do niezbędnego minimum – krótka informacja bez nadużywania słów. Oszczędzałam wyrazy do granic możliwości, jak gdybym je miała wyliczone. Wypowiedzenie każdego kolejnego mogło być niebezpieczne.

Z zasady działało się tak, że po rozmowie z matką czułam wewnętrzny niepokój. Stawałam się zagubiona bardziej niż zwykle. Przyczynę tego upatrywałam w fakcie, że moja matka, zupełnie nieświadomie, poruszała tematy, o których nie chciałam nawet myśleć. Walczyłam na co dzień, by nie dopuszczać ich do świadomości, traktując jak intruza, którego za wszelką cenę chce się uniknąć. Nie lubiłam analizować swojego życia, rozkładać na czynniki pierwsze porażek. Nie wydawało mi się, by takie działanie mogło mi jakkolwiek pomóc w usprawnieniu egzystencji. W głębi serca nie chciałam sama przed sobą przyznać, że uświadamiam sobie źródło niepowodzeń. Temat, którego nigdy nie byłam w stanie przepracować. Nie wierzyłam, że można wyleczyć chorą duszę, że błędy przeszłości da się naprawić. Nawet poplamione ubranie nigdy nie odzyskuje dawnej czystości, a co dopiero, gdy problem dotyczy człowieka. Czy ktoś wymaże błędne kody z mojej psychiki? Zmieni mój sposób myślenia, czyniąc mnie wolną? Wyciągnie z klatki samotności, na którą dawno temu mnie skazano?

Nie przekonywały mnie patetyczne slogany głoszące, „że życie leży w moich rękach, wszystko mogę zmienić, uzdrowić i całkiem na nowo zapisać kartę swojej przyszłości”. Nie mogłam. Jeśli jako dorosły i zdawałoby się logicznie myślący człowiek nie byłam w stanie poradzić sobie z beznadziejną miłością, która mnie opętała, to jak mogłam podejmować walkę z demonami przeszłości? Istniało mnóstwo sposobów, aby spróbować zapomnieć o mężczyźnie, który mną zawładnął, a ja nie umiałam podjąć próby wcielenia żadnego z nich. Rozum przestał zupełnie funkcjonować i zamiast zastanawiać się nad zyskami i stratami tkwienia w beznadziejnej relacji, która nie mogła przynieść mi spełnienia, obmyślałam kolejny plan, który umożliwiłby mi spędzenie z Adamem chociażby kolejnych pięciu minut. Miłość mnie ogłupiała, sprawiła, że przestałam bronić się przed cierpieniem i znów stawałam się bezbronną dziewczynką zdaną sama na siebie. Nikt nie mógł mi pomóc, ale tym razem już nie liczyłam na pomoc. Wiedziałam, że przyjmując to uczucie, które zaczęło we mnie kiełkować, godzę się na spustoszenie, którego we mnie dokona.

Matka martwiła się. Nie mówiła tego wprost. Niby przypadkiem wtrącała swoje luźne przemyślenia dotyczące mojej samotności. Powtarzała wciąż, że mam już swoje lata i nie powinnam tak stronić od ludzi. Nie aprobowała tego, że przyjaźnię się z Adamem, nie uznawała, żeby to miało sens. Mawiała często, żebym intensywniej skupiła się na mężczyznach, których mogę mieć, a nie na przyjaźniach, które w jej pojęciu nie były zbyt przejrzyste. Może wiedziała po prostu, że czas nie leczy mnie z zadurzenia i martwiła się, że ten stan może już nigdy nie minąć. Lata mijały, z przyjaźni niewiele wynikało, a wokół mnie nadal nie było właściwego mężczyzny. Z każdym dniem moje szanse na znalezienie partnera malały, a matkę to przerażało.

Często zastanawiam się, czy ciężko jej zaakceptować myśl o tym, że już zawsze będę sama, czy też bardziej lęka się tego, że źródłem mojej samotności są przeżycia z dzieciństwa.

Istniało znaczne prawdopodobieństwo, że przyczyną problemu znalezienia właściwego mężczyzny może być przeżyta trauma. Stara historia, o której nigdy nie mówiliśmy w zaciszu czterech ścian, a która niczym zapach zgniłego jedzenia unosiła się w każdym kącie mieszkania. Każdy to czuł i udawał, że nie dzieje się nic, na czym warto by skupiać uwagę. To, co się wydarzyło w mojej przeszłości, miało bardzo duży oddźwięk w życiu całej rodziny. Role się mieszały, kat stawał się ofiarą, ale nikt nie miał dość odwagi, by przyznać, że to nie było normalne. To nie rozbite kolano, na które nikt nie zwrócił uwagi.

Sytuacja wszystkich przerosła, dlatego wmówiono dziecku, że nic się nie wydarzyło. Pamiętam tę małą dziewczynkę, którą wówczas byłam. Mam przed oczami jej smutne zielone oczy. Stoję przed lustrem, widzę te oczy, a przez głowę przebiega mi nieme pytanie: dlaczego mi nie pomogłaś? Nie lubię sobie jej przypominać, nie lubię myśleć, że ona to ja. Pragnę się od niej odciąć, ale ona najwyraźniej nie chce mnie zostawić. Ma tylko mnie, tylko ja nie mogę jej opuścić. Wolałabym wymazać z pamięci tamtą historię, ale wiem, że tylko śmierć odbierze mi piętno przeszłości. Inna metoda nie istnieje.

Matka byłaby o wiele spokojniejsza, gdybym znalazła kogoś na życie. Wątpię, żeby chodziło jej jedynie o moje osobiste szczęście, chociaż to w sercu matki na pewno ważna kwestia. Myślę, że gdybym była taka jak inni, miała męża i dzieci, matkę przestałyby dręczyć wyrzuty sumienia, że jej zachowanie wywarło znaczny wpływ na to, że moje życie jest takie, a nie inne. Ona sama wiele przeżyła, do tej pory nosi brzemień swojej przeszłości, nie chce myśleć, że i mnie nie uda się uniknąć losu człowieka złamanego. Niekiedy powtarza, że jesteśmy ofiarami ofiar, i podkreśla, że ludzie ze złamaną psychiką nie są w stanie normalnie funkcjonować. Dlaczego zatem ode mnie wymaga normalności? Niestety nie mogę jej uspokoić, nie mogę obiecać, że wszystko będzie dobrze.

Wiem, że się cieszy, że Adam odchodzi. Nie powiedziała tego, ale jestem pewna, że odczuwa ulgę w związku z jego odejściem. Ma nadzieję, że nasz kontakt się urwie, a ja będę emocjonalnie wolna. Nie mówiłam nigdy, co czuję do przyjaciela, ale ona wie. Matczyzna intuicja podpowiada jej, jak wygląda rzeczywistość. Nigdy nie zadaje mi pytań, które skłaniałyby do wyznań, ale mam pewność, że zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Orientuje się przecież, jak często o nim wspominam, ile troski jest w moim głosie, kiedy opowiadam o jego sprawach. To nie jest zwykła przyjaźń, jaką się darzy bliskich. Bez Adama usycham. Tęsknię, kiedy nie ma go dłużej, tęsknię, nawet kiedy wychodzi z mojego biura, mimo że wiem, że za kilkanaście godzin znów go ujrzę. Tęsknię tak bardzo, bo nie mogę go mieć na stałe. Jest tak ulotny i nieosiągalny, tylko na chwilę zatrzymuje się w moim świecie, ale i tak pewne jest, że wkrótce zniknie. Zniknie już na zawsze.

Matka przypomina mi czasem, że jestem mądrą kobietą. Jest przekonana, że nie zrobiłabym niczego głupiego, nie skrzywdziłabym świadomie drugiego człowieka. Wiem, co ma na myśli, mówiąc to, ale nigdy nie drążę tematu. Przytakuję, by ją uspokoić.

To taki cichy pakt między nami. Ona wie, że w mojej naturze nie leży krzywdzenie innych kosztem egoistycznych pragnień, ale jednocześnie czuje, jak wielka to miłość. Boi się, że dla Adama jestem w stanie złamać każdą zasadę – za chwilę przekonania, że jest mój, oddałabym duszę diabłu. Matka się myli. Duszę mogłabym oddać bez zastanowienia, gdyby to były jedyne konsekwencje, które musiałabym ponieść za przebłyśk jego miłości. Na pewno wiem, że nie zniszczyłabym życia Adamowi. On znaczy więcej niż cokolwiek innego.

Nie chcę nawet myśleć, jak to będzie, kiedy zniknie już na zawsze. I nie będzie możliwości, by powrócił. Oddali się o sto kilometrów, ale dla mnie będzie to droga nie do przebycia. Sto kilometrów, które można by pokonać w ciągu godziny. Gdyby istota rzeczy dotyczyła jedynie odległości, problem by nie istniał.

Rozdział 6

Pamiętam dokładnie, kiedy pojawił się w moim życiu. Zdaje się, że było to zaledwie przed kilkoma dniami, gdy wysoki szczupły mężczyzna wkroczył po raz pierwszy do mojego pokoju. Miał łagodne ciemnobrązowe oczy i przyjazny uśmiech. Był przystojny, choć nie klasycznej urody. Dostrzegłam oczy, to one mnie poruszyły najbardziej. Z czasem widziałam coraz więcej, dziś pamiętam dokładnie mapę jego twarzy. Minęły cztery lata. Adam przeistoczył się w mężczyznę o muskularnej sylwetce, lekkim zarostcie i pierwszych siwych włosach. Nie był człowiekiem z naiwnie entuzjastycznym podejściem do życia, na jego twarzy pojawiały się pierwsze objawy zmęczenia rzeczywistością. Nie wszystko, co działo się w ostatnich latach, było dla niego dobre. Miał swoje problemy i trudności, a co gorsza, okazało się, że życie stawiało go dokładnie w takich sytuacjach, jakich obawiał się najbardziej. Niektóre z odwiecznych lęków stawały się realne, ale on w ich obliczu uśmiechał się łagodnie, nie chcąc nikomu sprawiać problemów. Nie obarczał innych swoim pozabiurowym życiem, byłam jedyną osobą, przed którą otwierał swoje serce.

Nie sposób było nie zapłonąć do niego zupełnie niekontrolowaną sympatią od pierwszego wejrzenia. Wyczuwało się w nim tętniące życie. Pierwszy uśmiech uświadomił mi, że chcę, by został w moim życiu na dłużej. Było w nim coś, co przyciągało jak magnes. Nieokreślony czynnik, który sprawiał, że chciało się przy nim być. Ludzie gromadzili się wokół, chcąc zaczerpnąć chociaż odrobinę z tej rzadko spotykanej energii.

Kiedy go zobaczyłam, a pamiętam ten moment dokładnie, nie widziałam w nim jeszcze mężczyzny. Nie dostrzegałam tej pierwotnej męskości, która mogłaby zafascynować. Adam krył w sobie wiele tajemnic i to chyba było najbardziej pociągające. Uśmiechał się, rozmawiał, a z jego oczu ciężko było wyczytać, co kryje się pod fasadą. Kim jest tak naprawdę, kiedy pozwoli się komuś do siebie zbliżyć. Mało komu się to udało, a szerokie grono nowych znajomych dosyć szybko zaczęło się wykruszać. Zaczęli uświadamiać sobie, że mimo sympatii, jaką emanował, nie będzie łatwo nawiązać z nim głębszej relacji. Wielu chciało go na wyłączność, a on traktował wszystkich z takim samym zaangażowaniem. Dopiero po pierwszym roku znajomości wiadomo było, że między mną a Adamem zrodziło się coś znacznie głębszego, niż planowaliśmy.

Od początku wiedziałam, że go polubię, cieszyło mnie jego pojawienie się w biurze. Nie wiem, czy od pierwszego tygodnia rozpoznawałam, kiedy pojawiał się na moim korytarzu, ale za każdym razem, gdy odwracałam głowę w kierunku drzwi, liczyłam, że to jego ujrzę. Wnosił pewną lekkość. Był inny niż ludzie, których znałam dotychczas. Miał duszę i to stwierdzenie chyba najlepiej charakteryzowało jego osobowość. W naszej firmie ludzie dzielili się na tych, którzy oscylowali wokół liczb, mówili o zarobkach, cenach, kredytach, liczbie dzieci i mężów, oraz tych, którzy skupiali się na życiu innych. Dyskutowali nieustannie, jak gdyby rozważali życie bohaterów powieści literackiej. Czasem koncentrowali się na wyglądzie zewnętrznym, sposobie ubierania czy makijażu, konsultowali zachowania, sytuacje rodzinne lub zatapiali się w pikantnych szczegółach, o których nikt nigdy nie miał się dowiedzieć. Brakowało człowieka szczerego i otwartego, który potrafiłby porozmawiać nie tylko na tematy rzeczywiste, który nie wyznawałby dewizy, że istnieje tylko to, co da się opisać równaniem matematycznym. Adam był właśnie takim człowiekiem.

Bywało, że nasze codzienne rozmowy nie opierały się na żadnych informacjach, a były raczej czymś w rodzaju dywagacji na temat „co by było, gdyby”. Gra słowna, spotkanie dwóch niezależnych umysłów. To było niesamowite, wielowymiarowe. Nagle okazało się, że świat

może być inny niż się wydaje, jeżeli tylko spotka się właściwego człowieka. Na czwartym piętrze biurowca, w niewielkim pokoju, w wygodnych fotelach przy dwóch filiżankach kawy działa się magia. Słowa ciekawiły, a rozmowy nie były po to, by opisywać świat, ale by go tworzyć – nadawać formę i kształt w zależności od nastawienia. Tyle mogliśmy, chociaż jeszcze chwilę wcześniej wydawało się, że świat jest hermetyczny i nie zniesie żadnych kolejnych rozszerzeń. Nie był przecież z gumy, by pozwalać się dowolnie rozciągać. Dla nas nie istniały ograniczenia, a wyobrażenia miała wartość nadrzędną.

Rozmowy toczyły się niemal każdego dnia pracy, tylko weekendy, ku mej rozpacz, dzieliły nasz świat. Czasem spotkania były dość zwyczajne, wydawałoby się standardowe, a jednak przesiąknięte nami. I tylko my wiedzieliśmy, o czym jest ten świat, o czym są słowa. Mogliśmy mówić dosłownie o wszystkim, poczynając od pracy, chociaż były to trywialne i rzadko podejmowane tematy, po nasze opinie o człowieku, jego psychice, próbach odnalezienia się w tak skrajnie konsumpcyjnym świecie. Marzenia, odczucia, obserwacje – to był nasz codzienny tok rozważań i opowieści. Łatwiej byłoby wymienić tematy, o których nie prawiliśmy, niż te, które poruszały nasze umysły. Każde uczucie, każdą myśl można było zobrazować słowami. Skoncentrować się na niej i dorysować werbalny wszechświat. Rozumieliśmy się świetnie, aż trudno było pojąć, że możliwe jest spotkanie kogoś, kto widzi tak podobnie. Te same kolory, barwy, odcienie.

I tak z dnia na dzień stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. Nasze umysły znalazły wspólną przestrzeń, a porozumienie często odbywało się poza słowami. Uśmiech, spojrzenie, drobny gest – i wszystko stawało się oczywiste. Adam nie stanowił już tak wielkiej zagadki, jako jedyna w biurze wiedziałam, co kryje się za jego przyjaznym uśmiechem. Dał mi klucz, którego mocy nigdy nie chciałam nadużyć. To miała być przyjaźń na zawsze, tak dziwna w świecie, w którym nikt już nie cenił takiej zażyłości.

Nie miałam pojęcia, że jego obecność stanie się dla mnie tak ważna. Adam zdominował mój świat, a zrobił to w sposób zupełnie niezamierzony. Dzień po dniu wrastał we mnie jak jemiola w tkanki drzewa. I chociaż on w przeciwieństwie do jemioli nie był pasożytem, to działał na mnie tak samo. Trzeba zabić drzewo, by mieć pewność, że jemiola nie odrodzi się ponownie. Najgorsze, że ja mimo cierpień nigdy nie chciałam uleczyć się z tej miłości. Nawet wtedy, kiedy miałam już pewność, że on nigdy się we mnie nie zakocha. Nie było na to żadnych szans. Umysł ludzki cechuje się tym, że potrafi oszukiwać latami. Niby znamy prawdę, a jednak wciąż się łudzimy. I nic tych złudzeń nie jest w stanie unicestwić. Nawet jeśli wiemy, że odpowiedź na pytanie brzmi „nie”, to aż do śmierci nie przestajemy się oszukiwać, że zawsze jeszcze istnieje możliwość zmiany. Dopóki żyjemy, wciąż mamy nadzieję.

Rozdział 7

W biurze czekała na mnie niespodzianka. Włączyłam komputer i zobaczyłam wiadomość od Adama. Była w mojej skrzynce pocztowej od późnych godzin nocnych. Spałam, kiedy ją pisał. Ciekawe, dlaczego nie mógł zasnąć? Czy coś go martwiło, czy też boi się naszego rozstania? Czy to ważne, że myśli o mnie o drugiej w nocy, kiedy już nie należę do jego świata? Czy to coś znaczy, czy może nie ma większej wartości? Analizowałam na milion sposobów wszystko, co się z tym wiązało.

„Basiu, może znajdziesz dzisiaj po pracy czas na obiad ze mną? W pracy niestety nie uda mi się przyjść do Ciebie na kawę. Muszę wszystko uporządkować przed odejściem, a dziś dopinam sprawy związane z festiwalem – powinienem pozalać patronów medialnych i współorganizatorów, tak że większość czasu będę w rozjazdach”.

Bez zastanowienia odpisałam, że będę czekała pod biurem o godzinie szesnastej pięć.

Zaskoczyła mnie jego propozycja. Przez moment wydawało się, że jest jak za dawnych lat, kiedy raz w miesiącu, czasem częściej, spontanicznie gdzieś wychodziliśmy. O wiele rzadziej niż Adam proponował, a jednak zdarzały się takie dni, kiedy nasza przyjaźń trwała również poza godzinami pracy. W tamtych czasach Adam też dzwonił częściej, pisał wiadomości związane z naszym wspólnym światem. Dzielił się zwykłymi informacjami, ale to dawało mi poczucie, że chce mnie wprowadzać do swojego życia. Mnie ciekawiło wszystko, co miało z nim jakiś związek. Potrafiliśmy wysyłać popołudniami po kilkanaście SMS-ów czy e-maili z zabawnymi obrazkami znalezionymi w sieci. Wysyłaliśmy sobie linki do piosenek, filmów i niezliczonych tematów, którymi koniecznie chcieliśmy się podzielić.

Trudno było sobie przypomnieć, że mieliśmy też taki etap, dziś wydawało się to odległe i mało realne – jakby dotyczyło innych ludzi i zupełnie innej relacji. Od ponad roku nie spotkaliśmy się poza budynkiem pracy ani razu. Nawet przypadkiem nie udało nam się wpaść na siebie, mimo że miejsca wciąż mieliśmy wspólne – sklepy, w których robiliśmy zakupy spożywcze, czy ulubione knajpki. Mieszkaliśmy od siebie o kilka przecznic, a mimo to droga ta wydawała się być nie do pokonania. To, co kiedyś było normalne, przestało funkcjonować. Życie Adama zmieniało się z dnia na dzień i musieliśmy ustalić nowe reguły. Nie rozmawialiśmy o tym, nikt nikomu nie dyktował praw, a jednak wiadome było, że to, co dawne, już nie może wrócić. Nie było zakazów, żadnych pouczeń, by zbyt często do siebie nie pisać czy dzwonić, ale wiadomo było, że pewien etap mamy już bezpowrotnie za sobą. Czułam, że go tracę... Wtedy po raz pierwszy zaczęłam sobie uświadamiać, że nasz świat prędzej czy później się rozpadnie. Nie było na to rady, a jednak odsuwałam od siebie tę myśl, łudzac się, że mamy jeszcze dużo czasu.

Stałam ze swoim życiem w tym samym martwym miejscu, ale musiałam poddać się temu, co obecnie mi oferowano. Nigdy niczego nie mogłam kontrolować, nawet gdy próbowałam nieśmiało zgłaszać swoje obiekcje, Adam zawsze tłumaczył, że przecież możemy nadal się spotykać, że nic się między nami nie zmieniło. Powtarzał: „Basiu, możesz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy”, „Musimy kiedyś iść razem na pizzę i do kina”, a jednak oboje wiedzieliśmy, że to są już tylko słowa. Adam nie chciał przyznać, że coś się zmieniło, nie chciał pielęgnować w sobie świadomości, że coś stracił i nie może do tego wrócić. Zawsze bał się straty, bał się kwestii ostatecznych.

Nowa rzeczywistość, która tak gwałtownie wtargnęła do naszej przestrzeni, szybko narzuciła nowe reguły. Poza pracą nasza przyjaźń nie mogła już istnieć. Nie mogliśmy się swobodnie kontaktować, widywać, nawet na ulicy przy przypadkowych spotkaniach trzeba było pozorować większy chłód. A my trzymaliśmy się nowych zasad, jak gdyby nigdy nie istniały

inne.

Przyjaźń między mężczyzną a kobietą nie powinna być za bliska, nie może cechować się zbyt dużym zrozumieniem i zaufaniem, bo budzi to niepokój. To nie jest społecznie akceptowalne. W naszym przypadku też ciężko bronić argumentów dotyczących przyjaźni między płciami, bo ja cały czas kochałam Adama – nielogicznie, boleśnie, bez szans... Nie wydawało się rozsądne próbować o nim zapomnieć tylko ze względu na fakt, że to mogłoby mniej boleć. Ból nie miał znaczenia, kiedy chodziło o miłość. Wolałabym przeżyć piekło u jego boku, niż wieść spokojne i dostatnie życie z kimkolwiek innym. Z kimś, kto nic nie znaczył.

Nigdy tego nie pokazywałam, ale on musiał się domyślać, musiał wiedzieć, że ten blask w moich oczach to nie może być przypadek. Nikt o zdrowych zmysłach i silnej psychice nie przeżywałby tak bardzo wiadomości o stracie przyjaciela. Adam nigdy mnie nie pytał, ale czasami zastanawiałam się, czy on faktycznie tego nie wie, czy też łatwiej mu udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Szczera rozmowa mogła sprawić, że udałoby się w końcu rozwiązać naszą sytuację, ale trzeba by postawić wszystko na ostrzu noża i zagrać *va banque*. Do czasu, aż pewne słowa nie zostały wypowiedziane, można było udawać, że nie istnieją. To dawało możliwości. Nie trzeba było reagować, można było pozostawić sobie alternatywę w postaci najlepszej przyjaciółki. Czasem lepsze to niż nic, bez względu na to, jak okrutnie to brzmi...

Przez większość dnia zastanawiałam się nad spotkaniem. Myślałam, że może Adam chce mi powiedzieć coś ważnego, co może zmienić naszą przyszłość. Może zawalczy o to, co przez kilka lat było cenne i ważne. Tak bardzo chciałam wierzyć, że kiedy on odejdzie, наша przyjaźń będzie mogła trwać. Liczyłam, że prawdziwe okażą się jego obietnice o weekendowych spotkaniach co drugi tydzień, kiedy będzie przyjeżdżał do rodziców. Tylko czy wtedy znajdzie dla mnie czas? I czy będzie mógł się ze mną widywać? Wiedziałam, że jestem w pełni gotowa podporządkować się nowym regułom i nawet jeśli miałabym cały weekend czekać na telefon od niego, że właśnie znalazł dla mnie godzinę na rozmowę, na pewno to uczynię. Nie byłoby to z mojej strony żadne poświęcenie, a jedynie radosne oczekiwanie na spotkanie z przyjacielem.

Do pokoju w biurze weszła Martyna. Piękna brunetka o długich zgrabnych nogach. Tak bardzo byłam pochłonięta rozmyślaniami, że całkowicie odpłynęłam. Dopiero radosny śmiech koleżanki przywrócił mnie do rzeczywistości. Znowu siedziałam przed komputerem, próbując skupić się nad słupkami liczb, które od dłuższego czasu widniały na monitorze.

– Basiu, coś ty taka zamyślona? – powiedziała Martyna i nie czekała na moją odpowiedź, tylko kontynuowała. – Dziewczyno, mam dla ciebie świetną propozycję. W weekend organizuję małą imprezę u siebie w ogrodzie. Musisz koniecznie przyjść – mówiła, nie pozwalając sobie przerwać.

– Oj, nie wiem niestety, czy dam radę – odparłam asekuracyjnie, zupełnie bez zastanowienia. Z zasady tak właśnie reagowałam na wszelkie opcje spotkań towarzyskich.

– Baśka, nie próbuj się wykręcać! Za każdym razem to samo! Musisz przyjść, będzie kilku fajnych facetów, może czas najwyższy skończyć z samotnością? Co, moja droga?

Martyna nie odpuszczała. I chociaż nie miałam najmniejszej ochoty, by iść, po kilku minutach bezsensownego szukania wymówek ostatecznie się zgodziłam.

Martyna była samotna tak jak ja, ale w przeciwieństwie do mnie była piękna i wciąż krążyli wokół niej potencjalni kandydaci. Jej samotność była kwestią wyboru, bo wciąż nie nadarzył się odpowiedni mężczyzna, ten jedyny. Za każdym razem, kiedy na nią patrzyłam, mimo całej sympatii czułam ukłucie zazdrości. Nie dlatego, że była piękna, zgrabna jak modelka i urocza – czyli całkowite przeciwieństwo mnie – ale dlatego, że na samym początku, kiedy Adam pojawił się w pracy, był w niej zakochany. Wodził za nią maślany wzrokiem i skupiał

uwagę tylko na jej słowach. Całkowicie się w niej zadurzył. Kilka razy nawet się umówili, ale Martyna nie była zainteresowana. Traktowała go jak znajomego, z którym mogła podzielić się przemyśleniami po rozpadzie wieloletniego związku. Nie dostrzegała w nim mężczyzny.

Udawałam, że ta sytuacja zupełnie mnie nie dotyczy. Martyna opowiadała mi ze szczegółami, o czym rozmawiali, jak Adam się zachowywał, ja natomiast pozorowałam, że słuchanie o randkach z mężczyzną, którego kocham, było normalne. Oboje przecież byli moimi znajomymi z pracy. Z Adamem rozmawiałam wówczas codziennie, czyli z taką samą częstotliwością jak obecnie, kiedy nasza znajomość przerodziła się w głęboką przyjaźń. Nie dawałam po sobie poznać, jak bardzo mnie rani. Chciałam się odciąć, tłumacząc sobie, że nie mam wpływu na jego uczucia, że nie mogę tego kontrolować. Nie będę przecież ingerować w jego życie osobiste, nie mam do tego prawa, poza tym i tak nic bym nie wskórała. Nie można nikogo zmusić do miłości.

Mimo to w myślach wciąż powtarzałam: dlaczego mnie nie dostrzegasz? Jestem przecież najbliższą ci osobą, możemy rozmawiać o wszystkim, a każdą inną dziewczyną jesteś bardziej zainteresowany niż mną. Czy kiedykolwiek mnie zauważysz? Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Adam, kocham cię – mantra nie skutkowała.

Adam nie słyszał tego, co próbowałam mu przekazać. Po latach zaczynałam wierzyć, że on nigdy nie starał się odczytać tego, co było tak jasne, nie chciał zareagować. Nie było to zaskakujące, jednak dziwiło mnie, dlaczego tak jest. Niestety, nie mogę powiedzieć, żebym była piękna, choć najistotniejsza nie jest tu moja uroda, ale figura. Jestem gruba, a to zazwyczaj uznawane jest u kobiety za największy mankament. Moja waga zawsze była wyższa, czasem znacznie przekraczałam słupki określone jako norma. Wszystko zależało od mojego stanu psychicznego. To psychika kształtowała w decydującej mierze moje ciało. Nikogo to jednak nie interesowało. Gruby człowiek to gruby człowiek, a nie złamana psychika ukryta w ciele.

Dawno temu, kiedy byłam małą dziewczynką, postanowiłam się ukryć, schować przed światem. Nie mogłam poradzić sobie z rzeczywistością, z tym, że nikt mnie nie kochał, nie próbował obronić, a ja wciąż czułam się winna za to, co wydarzyło się w moim domu. Tak bardzo chciałam się ukryć, że zaczęłam tyć. Zawładnęły mną destrukcyjne nawyki, a że nie uważałam mojego życia za cenne, nic nie powstrzymywało mnie przed samozniszczeniem. Myślałam, że ludzi grubych zostawia się w spokoju, nikt się nimi nie interesuje. W końcu przytyłam tak potężnie, że wszyscy zaczęli mi się przyglądać.

Wiedziałam, że osiągnięty efekt był zupełnie przeciwny do zamierzeń. Wszystko odbywało się na poziomie mojej psychiki, więc właściwie nie decydowałam o tym, co się ze mną dzieje, nie umiałam zapanować nad tym. W pewnym momencie ocknęłam się i zaczęłam dążyć do pozornej normalności, dlatego waga spadła do poziomu, który nie budził już powszechnego zainteresowania.

To nie tak, że nigdy nie próbowałam wypracować sobie właściwej sylwetki, ale po latach niszczącego objadania się nie miałam siły, by zapanować nad sobą. Najpierw ukrywałam się przed światem w otyłości, a później moje ciało stało się w pewnym stopniu więzieniem. Nie dało się cofnąć wieloletnich nawyków i uszkodzeń. Czasem winiałam swoją wagę za to, że Adam nie widzi we mnie kobiety. Tylko czy inne aspekty naszej wyjątkowej relacji nie miały dla niego żadnego znaczenia? Niemożliwe, żebym przegrała tylko przez wygląd. To musiał być zespół czynników, który sprawiał, że Adam nie czuł do mnie pociągu fizycznego, nie byłam w stanie go oczarować.

– Basia, kto wie, może w końcu się zakochasz – Martyna puściła do mnie oczko i wyszła z uśmiechem na twarzy.

Zakochasz? Chciałam krzyknąć na pożegnanie, że nie mogę się zakochać, bo cały czas

jestem zakochana, ja kocham, kocham szaleńczo! I dopóki to uczucie jest tak silne, żaden inny mężczyzna nie pojawi się w moim życiu. Nawet go nie dostrzegę, nie ma na to najmniejszych szans.

Mężczyźni, kiedy wiedzą, że nie uda im się zdobyć kobiety, której pragną, automatycznie szukają lekarstwa, którym zazwyczaj jest inna kobieta. Ta, która w ramach zastępstwa uleczy ich serce i zostanie z nimi na trochę, może nawet na dłużej, aż ból po miłości minie. I potrafią się tak bez końca leczyć, aż przestaną czuć.

Kobiety, gdy kochają, postępują całkowicie odmiennie. Kiedy już znajdą obiekt swego uwielbienia, nie są w stanie skupić uwagi na nikim innym. Nie ma znaczenia, czy ukochany wart jest miłości lub czy w międzyczasie stara się o nią kilku innych przystojnych, inteligentnych i dobrych mężczyzn. Nie liczy się nic poza uczuciem, nawet gdyby było całkowicie destrukcyjne. Kiedy kobieta kocha, z miłości staje się głupia. Zostają zawsze tylko dwa rozwiązania. Pierwsze – że miłość, której pragnie, zrealizuje się. Drugie natomiast to samoistne wygaśnięcie żaru. Etap nieszczęśliwego zakochania zazwyczaj trwa bardzo długo, nikt złamanego serca nie jest w stanie zaleczyć. Kobiety rozkoszują się bólem miłości, jakby była bezcenna, warta każdego poświęcenia i każdej ofiary.

Ten rodzaj miłości był mi szczególnie dobrze znany, bo i ja byłam w tym uczuciu głupia. Mimo to ludzie z najbliższego otoczenia nie dostrzegali mojego opętania. Martyna od roku próbowała mnie przekonać, że powinnam bardziej udzielać się towarzysko i dać mężczyznom szansę, bez względu na to, jak bardzo skrzywdzili mnie w przeszłości.

Nie rozmawiałam z koleżanką o sprawach ważnych. Nie potrafiłam się otworzyć, zresztą nigdy tego tak naprawdę nie chciałam. Adam był jedynym człowiekiem, którego dopuściłam do swojego prawdziwego świata. Innych nie potrzebowałam. W głębi serca i zupełnie nielogicznie czułam do Martyny żal z powodu Adama. To kobieta, jakiej pragnął. Trudno się dziwić, była nie tylko piękna, ale też naprawdę wartościowa i przyjazna. Miałam świadomość, że Martyna jest po prostu szalenie atrakcyjna i czułam złość. To nie było ani rozsądne, ani sensowne. Nie mogłam się z nią równać i to mnie drażniło. To nie była jej wina, a jednak irytowała mnie ta jawna niesprawiedliwość świata. Ona bez zastanowienia odrzuciła to, za co ja oddałabym życie. Adam nie miał dla niej większego znaczenia, a dla mnie był wszystkim.

Czasami zmyślałam historyjki na temat mężczyzn i rzekomych randek. Nie chciałam mówić Martynie i innym zbyt natarczywym znajomym prawdy, bo prawda była zbyt niepokojąca. W rzeczywistości w moim życiu przed Adamem był tylko jeden mężczyzna i to on złamał mnie psychicznie. Uczynił mnie tym, kim teraz byłam. Adam, chociaż mnie niszczył, i tak wydawał się dla mnie jedynym dobrym rozwiązaniem w porównaniu z człowiekiem z przeszłości. Przy nim czułam się bezpiecznie. Może właśnie dlatego, że nie mogłam go mieć.

Zastanawiałam się, czy moja miłość do Adama nie była tak intensywna z powodu swojej nierealności, że względu na fakt, że nie może się spełnić. Prawdopodobnie obdarzyłabym przyjaciela innymi uczuciami, gdyby był dostępny, gdybym mogła z nim sypiać i dzielić życie jak kobieta z mężczyzną. Być może wtedy poza pożądaniem budziłby mój strach? Może uciekłabym przed rzeczywistością w popłochu? Wiele myśli kołatało się w mojej głowie. Bombardowały mnie z niezmierną siłą i często nie dawały odpoczynku, a ja tkwiłam w rozważaniach, na które nie było odpowiedzi. Snułam wciąż nowe analizy, a rozwiązanie nie przychodziło. To, co działo się w mojej głowie, nie wychodziło poza nią. Stałam się więc niewolnikiem własnych myśli.

Na korytarzu słyszałam śmiech Martyny, która zapraszała na imprezę kolejnych współpracowników. Nie miałam ochoty zastanawiać się nad entą sztuczną sytuacją w moim życiu. Wiedziałam, że tam pójdę, będę miła jak zawsze, porozmawiam o mało istotnych

sprawach, trochę się pouśmiejam, a gdy tylko nadarzy się stosowny moment, wyjdę. Nic się nie zmieni. Nikogo nie wpuszczę do swojego świata. Myślami będę przy Adamie, chociaż jego przy mnie nie będzie.

Rozdział 8

O piętnastej trzydzieści sześć zadzwonił Adam. Powiadomił mnie, że jednak nie uda mu się dotrzeć. Załatwienia w urzędach pochłonęły więcej czasu, niż przewidywał, i z wielkim żalem, jak twierdził, musiał odwołać nasze wyjście na obiad. Kiedy zobaczyłam jego imię na wyświetlaczu telefonu, poczułam napięcie i radość, tak bardzo się cieszyłam, że znajdzie dla mnie czas po godzinach służbowych, że może naprawdę mu na mnie zależy. Chwilę później czułam już tylko zawód. Powiedziałam oczywiście, że nic się nie stało i bez wątpienia rozumiem sytuację, ale w głębi serca było inaczej. Pożegnaliśmy się, życząc sobie udanego popołudnia.

Siedziałam zrezygnowana przed komputerem. Do końca pracy został kwadrans, ale myślami dawno odpłynęłam od obowiązków. Od rana, kiedy przeczytałam maila od Adama, mogłam się skupić tylko na tym. Cały dzień oczekiwania przyniósł dobrze znany efekt zawodu – bardzo często tak było. Od samego początku Adam umawiał się ze mną na wyjście, a później zapominał albo dzwonił, że jednak nie da rady, bo wypadło mu coś ważnego. Zawsze było coś ważniejszego, a ja mimo to wierzyłam, że jednak się spotkamy – przecież skoro wyszedł z inicjatywą, to musi mu zależeć.

Uśmiechnęłam się sama do siebie, choć był to raczej ironiczny uśmiech, coś w stylu: głupia, za każdym razem dajesz się oszukiwać, za każdym bez wyjątku. Wystarczy, że on skinie palcem, a ty gotowa jesteś lecieć na koniec świata. W czasach, kiedy nie wiedziałam jeszcze, czym może być taka bezwarunkowa i naiwna miłość, uznałabym taką kobietę jak ja za niewartą szacunku. Byłabym przekonana, że brak jej dumy, skoro pozwala się tak traktować. Mówią, że nie powinno się pokonywać oceanów dla kogoś, kto nie jest w stanie pokonać dla nas nawet najmniejszej kałuży. Jednak w sytuacji, gdy ja stałam się tą kobietą, która dla nieodwzajemnionej miłości ponosiła wszelkie poświęcenia, okazało się, że zupełnie tego nie dostrzegam. Inaczej wyglądają relacje, kiedy przygląda się im z boku – na chłodno, bez emocji – a inaczej, kiedy się w nich tkwi tak zaparcie. Pomimo że na dziesięć propozycji spotkania maksymalnie dwie dochodziły do skutku, zawsze potrafiłam wytłumaczyć Adama, bo przecież najważniejsze, że chciał.

Naiwnie myślałam, że mu zależy, że zawalczy o naszą przyjaźń. Marzyłam, że rozwieje moje obawy. Tak bardzo bałam się utraty przyjaciela. Pragnęłam, by chociaż raz pokazał mi, że jestem kimś naprawdę ważnym w jego życiu. Nieistotne, że mnie nie kochał, chciałam po prostu mieć znaczenie. Wychodząc z pracy, czułam jak pod powiekami kumulują się łyzy żalu. Nagromadzone emocje musiały w końcu znaleźć ujście. Upał sprawił, że po ulicach nie chodziło zbyt wielu ludzi, zatem nie musiałam obawiać się ciekawskich spojrzeń. Ukradkiem ocierałam ciężkie jak ołów łyzy, które dla mało spostrzegawczego obserwatora mogły równie dobrze wyglądać jak pot spływający po policzkach. Przy tak nieznośnych temperaturach był to normalny widok. Niektórzy spływali nim cali, inni pocili się w bardziej eleganckim stylu. Pałące słońce sprawiało, że byłam cała czerwona, więc przekrwione oczy nie budziły podejrzeń. Nie rozpoznawałam mijanych ludzi, nikt nawet na mnie nie patrzył, a mimo to czułam się niepewnie. Nie przywykłam do takich emocjonalnych wybuchów. Jeśli już się zdarzały, to w zaciszu domowym, kiedy miałam pewność, że nikt mnie nie nakryje. Cały czas tłamsiłam emocje, udawałam życie, które nie istniało. Teraz, kiedy byłam już dorosła, dawne nawyki nadal dawały o sobie znać, a każdy objaw zbędnych uczuć był dla mnie niepotrzebnym okazywaniem słabości. Jeśli chcę przetrwać, nie mogę być słaba. Nawet gdy, kiedy nie umiem poradzić sobie z własnymi demonami, muszę przeczekać.

Po godzinie szybkiego marszu dotarłam do domu. Byłam zmęczona upałem i fizycznym

wysiłkiem, ale ten czas wystarczył mi w zupełności, by wytłumaczyć sobie, że taki nieuzasadniony brak zrozumienia dla spraw najbliższego przyjaciela to dość egoistyczne z mojej strony. Gdyby Adam mógł, na pewno poszedłby ze mną na obiad. Jeśli odwołał, to znaczy, że nie było innej opcji. Zostało tak niewiele czasu do naszego rozstania, to z pewnością nie był najlepszy moment, by nastawiać się negatywnie. Budziły się we mnie wyrzuty sumienia, przywykłam, że winę zawsze brałam na siebie.

Przez te kilka lat przyjmowałam Adama takiego, jaki jest, i prawie nigdy nie zgłaszałam pretensji – dlaczego w ostatnich dniach miałabym przewracać nasz wspólny świat do góry nogami? Wymagać rzeczy, które nigdy nie były egzekwowane? I choć czasami się złościłam z powodu jego zachowania, charakteru czy zbyt luźnego podejścia do składanych obietnic, to na kilkanaście dni przed odejściem byłam pewna, że wolałabym na co dzień denerwować się na niego, byle tylko został. Każda przykrość związana z jego osobą była lepsza niż brak Adama.

W mieszkaniu płakałam już nie z żalu, ale ze smutku. Czarę goryczy przepełnił SMS od przyjaciela, że przeprosza mnie bardzo i żałuje, że tak wyszło. Nie może doczekać się jutrzejszej kawy. Po tym wpadłam już w amok. Szloch przerodził się w głośny płacz. W takich sytuacjach zazwyczaj doprowadzałam się do stanu, w którym nie mogłam złapać powietrza i zaczynałam się dusić. Było to bardzo nieprzyjemne doznanie. Resztkami sił próbowałam skupić się na czymkolwiek, na jakiejś myśli, która zakończyłaby moją histerię. Przed oczami widziałam wciąż Adama, jak się uśmiechał do mnie, kiedy wręcz namacalnie czułam jego bliskość. Miałam wrażenie, że był częścią mojej duszy. Przed oczami przelatywały scenki z naszego wspólnego czasu, drobne gesty i ważne słowa, które wypowiedział. Każda chwila była jak żywa, jak gdyby wydarzyła się przed kilkoma dniami. Nie potrafiłam wyrzucić go z głowy.

Rozdział 9

Po ciężkim dniu oczekiwania na spotkanie byłam na skraju Wyczerpania. Zawiedziona i zapłakana nie mogłam zasnąć. Choć skupiałam się na tym usilnie, paradoksalnie właśnie to stawało się największą przeszkodą. Organizm się buntował i nie przyjmował do wiadomości moich oczekiwań. Stwierdzenie „muszę zasnąć” było na tyle blokujące, że nie czułam się w ogóle senna. Wierciłam się na łóżku, przewracając się z boku na bok. Bezskutecznie próbowałam znaleźć odpowiednią pozycję, wszystko mnie uwierało. Ciężar własnych myśli wbijał mnie w zbyt miękki materac. Najgorsze, że stałam się całkowicie bezbronna wobec własnego umysłu, który szturmem rozpoczął kolejną próbę destrukcji. W chwili, kiedy człowiek znajduje się na cienkiej granicy, gdzieś między snem a rzeczywistością, jest najbardziej podatny na szepty z głębi duszy. W dzień można było jakoś odwrócić ten proces, włączyć telewizor i skupić się na głosach innych ludzi czy też podjąć absorbującą fizycznie pracę – zawsze istniało coś, co chociaż w pewnym stopniu ściszało jęki wewnętrznych demonów. Umysł wówczas się poddawał, a wszechobecny chaos zagłuszał go skutecznie. Nocą wszystko było bardziej wyraźne. Życie przestawało srebrzyć się milionami odcieni szarości, a stawało się czarno-białe... dominowała czerń. Wszystko było ostre i ostateczne. Człowiek stał na skale, a przed nim tylko przepaść, zupełnie jakby nie istniało inne rozwiązanie.

Myśli przepływały przez moją głowę, wprowadzając niebywały chaos. Nie chciałam przypominać sobie przeszłości, która bolała bardziej niż nieodwzajemniona miłość. Nie chciałam wracać pamięcią do dziewczynki, którą wówczas byłam. Umysł jednak sam dyktował myślom tor. Obrazy pojawiały się samoistnie, uczucia wzbierały ze znaczną siłą, a najgłośniejszy z demonów krzychał rozpaczliwie. Nie mogłam go uciszyć, nie tej nocy. I chociaż oczy miałam mocno zaciśnięte, wyraźnie widziałam obraz dziecka. Mała blondyneczka z grubymi warkoczami, które majątają zawadiacko, uśmiecha się radośnie. Tak ją zapamiętałam w dniu, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. I taki obraz przez lata pojawiał się w mojej głowie, kiedy myślałam o swojej przeszłości. Ta dziewczynka wciąż była ze mną, mimo że w realnym świecie nie został po niej żaden ślad. Ciało wprawdzie żyło, ale wewnątrz wypełnione było diametralnie inną materią.

Nie mogłam jej wybaczyć, że pozwoliła odebrać sobie duszę, a później latami przeżywała męki, bo nie potrafiła żyć w tej nowej rzeczywistości. Nie wiedziałam nawet, kiedy kończy się dziewczynka, a zaczynam ja, i która z nas jest prawdziwa, która powinna żyć. Chciałam się jej pozbyć, tak jak się chce pozbyć dowodu winy. Podświadomie wracałam do tamtych chwil, do przeszłości, która mnie zniszczyła.

Moje ciało nie odniosło znaczących krzywd, ból się nie pojawił, a ja teoretycznie byłam tą samą dziewczynką, która godzinę wcześniej weszła do kuchni dziadka. Tylko w duszy wszystko się pozmieniało. Miałam jedenaście lat i wiedziałam, że coś się bezpowrotnie skończyło. Efekty wzrastały we mnie przez lata, nie wszystkie przemiany były widoczne od razu, ale tamta noc i to, co po niej nastąpiło, przyczyniło się do przełomu. Jak gdyby jednym pociągnięciem pędzla przemalowano całą psychikę. To była tylko jedna noc. Po niej nastąpiły złe dni, słowa, które dotykały do żywego, gesty przypominające o katastrofie i twarze ludzi, których nie chciało się już nigdy więcej oglądać. Nieustanne poczucie wszechobecnego brudu, który gromadził się w głowie i ciele. Woda nie zmywała tego brudu, nie była go nawet w stanie dotknąć, nie miała takiej mocy.

Patrzyłam na twarze najbliższych, którzy nie zrobili nic. Nie tylko nie ustrzegli przed traumą, wysyłając dziecko, by odprowadziło do domu pijanego starca, ale po wszystkim też nie

zareagowali. Owszem, była jakaś kłótnia, padło parę mocnych słów i ostrzeżeń, że jeśli jeszcze raz dziecko zostanie dotknięte, to skończy się to dla dziadka tragicznie. Matka wypowiedziała wówczas znamienne słowa: „Nienawidzę go za to, co ci zrobił”... Później przez lata zastanawiałam się, dlaczego swoim zachowaniem nieustannie przeczy słowom. Najprościej było udawać, że nic wielkiego się nie zdarzyło. Dziecko musi ponieść ofiarę, żeby reszta domu mogła dalej tworzyć rodzinę. Żadne pochopne decyzje nie były wskazane. Starzec był właścicielem domu, więc to on rządził. Był też katem swojej córki, a mojej matki, dlatego psychicznie nią władał. Dziecko było tylko dzieckiem, nie mogło zmieniać panujących reguł.

Jeszcze tego samego dnia odbył się obiad, a potem kolacja w gronie rodziny. Codzienne rytuały odbywały się zgodnie z dobrze znanym harmonogramem. Zakłócanie porządku dnia nie było zasadne. Po domownikach nie było widać, że coś się stało, cokolwiek, co miało zmienić na zawsze przyszłe życie dziewczynki. W domu nigdy więcej o tym nie rozmawiano. Akt molestowania stał się największą tajemnicą dziecka – stało pośród tego wszystkiego i przyjęło całą winę na siebie.

Najgorsze, że ja cały czas byłam tamtą dziewczynką. Skrzywdzoną przez dziadka, zdradzoną przez matkę, która wypierała ze świadomości jakiegokolwiek sygnały, że z dzieckiem jest coś nie tak. I pozostawioną przez ojca, który nigdy później, aż do dnia śmierci, nie wspominał, że wie, co się wydarzyło tamtej nocy. Odkąd skończyłam jedenaście lat, pewne drzwi zostały dla mnie zamknięte na zawsze. Demony, które raz weszły do mojej głowy – zrodzone z psychicznego bólu, strachu, opuszczenia i bezgranicznej samotności – nie potrafiły jej opuścić. Zazwyczaj trzymałam je w uśpieniu, ale wiedziałam, że to one panują nade mną, nigdy na odwrót. Często odnosiłam wrażenie, że moje życie toczyło się według błędnych kodów, które od tamtej nocy zostały zaszczerpione w moim umyśle. Pewne decyzje podświadomie kierowały mnie do autodestrukcji i cierpienia. Objadałam się, żeby ukryć się w swoim grzesznym ciele, które tak bardzo mnie zawiodło. Pomimo myśli samobójczych chodziłam uśmiechnięta, opowiadałam wszystkim, że mam idealną rodzinę i nigdy, za nic w świecie, nie zdradzałam tajemnic swojego domu.

Później żaden mężczyzna mnie nie dotykał. Każdemu, który wykazywał chociaż odrobinę zainteresowania, od razu proponowałam koleżeństwo. Była to jedyna relacja, która jakoś mi się udawała. Najważniejsze, że nie wiązała się z seksem, bo seks był zły. Fizyczność zniszczyła moje życie, moje dzieciństwo i relacje z rodziną. Odebrała mi duszę, nie mogła więc być dobra. Dlatego zawsze uciekałam. Adoratorów nie było zbyt wielu, ale mimo to moje podejście było niezmiennie. Jedyнным mężczyzną, któremu pozwoliłam się do siebie zbliżyć, był Adam. Jego się nie bałam, czułam się bezpieczna. Może dlatego, że on mnie nie chciał? Nie zachowywał się w stosunku do mnie jak mężczyzna, tylko jak kolega. Nie byłam dla niego fizycznie atrakcyjna, więc nie istniało zagrożenie, że poza bliskością psychiczną zaistnieje relacja fizyczna.

Adam był jedynym, dla którego zgodziłabym się na wszystko. Przy nim przeszłość przestawała dominować w moim życiu. Nie była już największą siłą. Mimo to moje ograniczenia i wewnętrzne bariery modyfikowały podświadomie tę relację. Może gdybym nie została zniszczona, wszystko potoczyłoby się inaczej? Adam byłby ze mną...

Adam był też jedynym, który usłyszał tę historię. Na początku nawet jemu bałam się zdradzić sekret, przerażała mnie myśl, że teraz już zawsze będzie miał przed oczami mój okaleczony obraz, a ja pragnęłam, by widział mnie taką, jaką jestem. Owszem, zniekształconą, ale jednak inną niż dziecko, które pozwoliło się skrzywdzić. Kiedy wysłuchał mojej relacji, zamilkł na chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie spodziewał się tego. Nie podejrzewał nawet, że mogę nosić w sobie coś tak bolesnego. Nie wyglądałam na ofiarę molestowania, tym bardziej takiego, które odbywa się w domu. Akt był jednorazowy, ale odcisnął w moim domu piętno.

Nigdy wcześniej i nigdy później nie miałam odwagi przyznać się do swojej przeszłości. Tym bardziej, że czułam się za nią odpowiedzialna. Nie mogłam przeboleć, że jako jedenastoletnia dziewczynka nie byłam na tyle dojrzała i mądra, żeby uniknąć tragedii. Nie uniknęłam. Dziadek był człowiekiem, którego kochałam. Nie myślałam, że jego zachowanie może zmienić mój los. Nigdy później nie pozwoliłam się skrzywdzić, nie pozwoliłam się nikomu dotknąć.

Rozdział 10

– Basiu, przyniosłem kawę – Adam stanął w drzwiach, trzymając w rękach dwa kubki kawy na wynos. Ubrany był w szarą przylegającą do ciała koszulkę i długie granatowe jeansy. Nie mogłam nie dostrzec, jak bardzo jest męski. Szerokie ramiona odznaczały się od wąskich bioder, idealne proporcje zostały zachowane. Chciałabym przestać widzieć w nim mężczyznę, drżeć na jego widok i szaleć z ekscytacji. W powietrzu unosił się zapach jego delikatnych perfum, a czas na chwilę stanął w miejscu. Trwało to może kilka sekund, ale wiedziałam, że ten obraz Adama na długo zachowam w pamięci. Znacznie dłużej niż powinnam.

Uśmiechnęłam się uradowana jego widokiem i drobnym przejawem sympatii w postaci kawy. Nieczęsto zdarzało mu się wyjść poza schemat i zaskoczyć mnie czymś, co świadczyłoby o jego zainteresowaniu. Tym bardziej doceniałam te najmniejsze gesty. Kawa wprawdzie była z mlekiem, a ja od lat piłam tylko czarną, ale nie zwróciłam na głos uwagi na to drobne niedociągnięcie. I tak ją wypiję, właściwie to bez znaczenia, jeżeli kawa jest od przyjaciela. Najważniejsze przecież, że był.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Widziałam, że przygląda mi się z uwagą. Był skupiony, a po uśmiechu na jego twarzy nie został już ślad. Wpatrywał się dłuższą chwilę, omiatał mnie badawczym wzrokiem. Wyczuwał, że coś nie gra, zbyt długo się znaliśmy, by nie potrafił tego trafnie ocenić. Łączyła nas silna więź. Może dostrzegał zaczerwienione oczy albo niedające się ukryć, pomimo perfekcyjnie przygotowanego makijażu, objawy zmęczenia na twarzy. Nie, Adam, nic nie jest w porządku. Nigdy nie było i chyba nigdy już nie będzie! – chciałam wykrzyknąć. To były jednak tylko słowa, które nie oddawały tego, co działo się w mojej duszy. Emocje, których nie potrafiłam nawet właściwie opisać, uporządkować. Wciąż się zmieniały, a ja z dnia na dzień byłam jeszcze bardziej niestabilna. Tego już się nie da cofnąć.

– Jasne, wszystko dobrze – uśmiechnęłam się. W mojej głowie kołatały się dwie myśli. Jedna dotyczyła mojego złamanego życia i wizji dziewczynki, która od wczorajszej nocy rosła we mnie ze zdwojoną siłą, druga natomiast była bardziej realna, związana z Adamem. Chciałam być przy nim radosna, chociaż przez chwilę udawać, że ani przeszłość, ani przyszłość nie istnieją, zatopić się w tej chwili, w jego spojrzeniu i tonie głosu. Jednak to nie było możliwe.

– Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła za wczoraj – powiedział.

– Nie, skąd, rozumiem, że masz teraz dużo spraw na głowie w związku z końcem pracy i przeprowadzką – odparłam zgodnie z prawdą. Musiałam w końcu zaakceptować, że nie ja jestem tu najważniejsza, liczy się Adam. Zawsze przecież tak było.

– A może dziś wyskoczylibyśmy na kawę po pracy? Na jakąś godzinkę? Znajdziesz dla mnie chwilę? – Adam nie odpuszczał. Być może czuł moją rezygnację, nie chciał też z pewnością zostawiać po sobie negatywnego wrażenia. Zawiódł wczoraj, dziś planował odkupić winy.

– Chętnie – odpowiedziałam, ale tym razem bez entuzjazmu. Nie mogę wciąż płonąć na myśl o spotkaniu, wiedząc, że zazwyczaj te propozycje kończą się fiaskiem. Chciałabym przestać się łudzić, zrozumieć w końcu, że to koniec, i nie liczyć już na nic. Może dzięki temu łatwiej byłoby mi pogodzić się z jego odejściem.

Każdego dnia żyję jego widokiem, jego słowami, jak gdyby nic innego nie istniało. Wokół dzieją się poważne sprawy, ludzie realizują swoje marzenia i upadają z największych gór. Walczą o coś i żyją zgodnie ze swoimi pragnieniami, a ja dzień w dzień skupiam się tylko na nim. Jestem chora z miłości. Dotychczas wierzyłam, że Adam jest moim wybawieniem, że wyrwie mnie ze szponów przeszłości, a on jeszcze bardziej uświadomił mi, jak bardzo jestem

okaleczona, niezdolna do normalnego życia. Boję się odejścia Adama i boję się bycia z nim. Marzę o nim, a jednocześnie wiem, że nie jestem zdolna do przebywania z mężczyzną. Chyba już zawsze będę jedynie wrakiem człowieka.

– Adam, boję się, jak to będzie bez ciebie – wypalam wreszcie na głos myśl, która tak długo we mnie rośnie. Wypełza ze mnie na wolność, ucieka, by zmienić świat.

– Basiu, wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, nic się między nami nie zmieni. Będę przyjeżdżał na weekendy.

Nie wiem, kogo ma uspokoić jego odpowiedź, bo mówi tak, jakby sam chciał w to wierzyć.

– Nie będziemy się widywać – czuję, jak głos zaczyna mi się łamać. – Nie możemy przecież.

– Basiu, nie robimy nic złego. Nigdy nie robiliśmy. Zawsze już będziemy się przyjaźnić – mówi Adam, a w jego oczach pojawiają się łzy.

– Adam, przecież dobrze wiesz, jak jest. Poza pracą się nie widzimy. Nie dzwoniemy do siebie. Nie istniejemy. Jest tego jakaś przyczyna. Wierzysz, że teraz to się zmieni? Nagle będziemy mogli? Ja rozumiem, jak wygląda sytuacja, nie ma sensu niepotrzebnie się łudzić. Po co się oszukiwać, że będzie możliwe to, co dotychczas było zakazane – brnę dalej, choć dobrze wiem, że ta rozmowa nie ma większego sensu. Adam nie powie mi prawdy, a sam niewiele może zmienić.

– Basiu, to, że moja dziewczyna jest zazdrosna o naszą przyjaźń, to nie jest mój problem. Nie odpowiadam za emocje moich bliskich. Już ci mówiłem, że nie robimy nic złego i nie widzę powodu, żebyśmy mieli się nie spotykać, kiedy odejdę z pracy – Adam upiera się przy swoim, ale oboje wiemy, że to nie przejdzie. Ewa, ukochana Adama, nie odpuści tak łatwo. Nie mogę się jej dziwić, ja nieustannie odczuwam wyrzuty sumienia, choć wiem, że nigdy nie podejmę kroku, który mógłby zagrażać jego rodzinie. Nie zniszczę mu życia, zdaję sobie sprawę, jak ważny jest dla niego syn.

– Adam, zobaczymy... ostatecznie będzie, co ma być, ja chcę się z tobą pożegnać, kiedy będziesz odchodził. Nie mogę przestać myśleć, że to już koniec. Nie wiem, czy to koniec przyjaźni, czy tylko jakiegoś etapu, ale musisz mi dać prawo do pożegnania. Dla mnie to ważne.

– Basiu, nie chcę się z tobą żegnać. Zawsze powtarzałaś, że prawdziwa przyjaźń nie kończy się nigdy, nie rozumiem, dlaczego teraz zmieniasz front. Zazdrość Ewy to jej sprawa. W związku można iść na wiele kompromisów, ale jesteś jedną z najbliższych mi osób i nikt nie może wymagać, żebym przestał się z tobą przyjaźnić.

W głosie Adama wyczuwałam strach. Pierwszy raz od dawna pokazał, że i on się boi. W inny sposób niż ja, ale jednak jest to dla niego ważne. Nie mogę od niego wymagać poświęceń, nie powinnam żądać, by stawiał mnie przed swoją rodziną, a jednak cieszę się, że i on nie chce się tak łatwo poddać. Nie wiem, czy to daje nam znikome szanse na przetrwanie, ale na razie to jedyne, co mam. Innych deklaracji nie będzie, ta sytuacja jest wyjątkowo trudna i doskonale o tym wiem.

– Dobrze, może na razie już do tego nie wracajmy, co? Tak będzie łatwiej – proponuję, czując, że ten temat krąży nad nami jak sęp nad padliną, a my i tak nie rozwikłamy przyszłości, która nadejdzie.

– Basiu, to co, dasz się dzisiaj wyciągnąć swojemu najlepszemu przyjacielowi na kawę po pracy? – Adam uśmiecha się z wyraźną ulgą, że poważne kwestie na chwilę zostały odłożone.

– Oczywiście, najlepszy przyjacielu – odpowiadam rozbawiona, chociaż w głowie mam jeszcze większy mętlik niż wcześniej.

Nie chcę chwilowo wracać do tego, co trudne. Nieustannie czuję coś pomiędzy strachem,

smutkiem, tęsknotą a wyrzutami sumienia. Może byłoby bardziej fair, gdybym mu powiedziała o moich uczuciach? Wtedy być może myślałby o mnie inaczej, wiedząc, że moja przyjaźń niezupełnie jest przyjaźnią. Nie chcę go stracić, poza tym po tylu latach oszukiwania niełatwo wyznaczyć prawdę. Nawet jeśli nie byłby zły, że darzę go zakazanym uczuciem, a jego dziewczyna ma rację, bojąc się naszej relacji, to jednak niezbyt dobrze świadczy to o przyjaźni, kiedy jest budowana na kłamstwie. Kocham go przecież prawie od samego początku. Nie umiem podać daty, ale pamiętam ten moment, kiedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że jeśli się w nim zakocham, to będzie to katastrofa.

Adam pracował ze mną zaledwie od kilku miesięcy. Miał dziewczynę, z którą był ponad pięć lat. Pamiętam, że wspominał nawet o planach ślubu z ówczesną ukochaną. Znałam ją i chociaż nie była klasyczną piękną, to miała w sobie coś, co mogło przyciągać mężczyzn – podobnie jak mnie ciągnęło do Adama. Miała uroczy uśmiech, to zapewne w nim się zakochał. Kiedy wiedziałam już na pewno, że go kocham, Adam powiedział mi o kryzysie w wieloletnim związku. Przez głowę przeszło mi wówczas, że może to jakiś znak. Łudziłam się, że takie jest przeznaczenie, a nam pisana jest wspólna przyszłość. Inna niż relacja przyjacielska. Przecież byłam mu bliska, rozumiałam go jak nikt i, jak powtarzał często, tylko przy mnie mógł być sobą. Czy to zły grunt do budowania miłości?

Stosunkowo szybko okazało się, że dla Adama jestem ważna jako człowiek, nie jako kobieta. Po prostu bliska osoba, której nie trzeba nadawać ani żeńskich, ani męskich cech. Co jakiś czas, odkąd stał się wolnym człowiekiem, w jego wypowiedziach pojawiały się jakieś kobiece imiona, które zmieniały się co kilka tygodni. Nie miałam pojęcia, czy to Adam, czy jego nowa sympatia traciła zainteresowanie. Nie wypytywałam o szczegóły, a on niewiele mówił, bo nie uważał, że te sprawy dotyczą tego, co jest między nami. Nasza przyjaźń w jego oczach nie była zagrożona. Potrafił znaleźć równowagę pomiędzy tym, co działo się na terenie pracy, a czasem wolnym, który spędzał z ukochaną. Nie widział powodów, by rezygnować z czegokolwiek. Dla niego to były zupełnie odrębne kwestie. Gorzej było w moim przypadku, bo chociaż niewiele czasu spędzałam z Adamem poza biurem, to nowa kobieta w jego życiu z mojej perspektywy zmieniała bardzo wiele. Odbierała mi go – jego zainteresowanie i uwagę. Rozmawiał ze mną jak dawniej, ale dostrzegałam, że myślami jest gdzieś daleko. Czulałam wściekłość, że Adam mnie nie dostrzega. Nie potrafiłam pogodzić się z tym, że przestaję być dla niego ważna. Owszem, bolało, że to nie mnie kocha, ale kiedy byłam już w stanie wytłumaczyć sobie, że na uczucia nie ma się wpływu i nikt nie może ich kontrolować, o czym wiedziałam przecież najlepiej, byłam na niego zwyczajnie zła. Nie mogłam uwierzyć, że każda nowo poznana kobieta w ciągu zaledwie tygodnia staje się ważniejsza niż przyjaciółka. Ignorował mnie okrutnie, traktował jak natrętną muchę, a ja odpłacałam mu za to złością.

Raz nawet zapytał mnie, czy byłam w nim kiedykolwiek zakochana. Było to po jakiejś ostrej kłótni o, wydawałoby się, bzdurne sprawy. Nie odzywaliśmy się do siebie przez kilka dni, omijając się szerokim łukiem na korytarzach biurowca. Adam przyszedł w końcu i próbując się pojednać, zapytał mnie wprost o uczucia. Spłonęłam rumieńcem, nie dlatego, że faktycznie go kochałam, ale ze względu na to, jak strasznie zachowywałam się względem niego. Przecież nigdy nie obiecywał mi miłości, nie oszukiwał mnie, a ja poczułam się odrzucona i mściłam się podświadomie. Wytłumaczyłam Adamowi, że nie chodzi tu o miłość, tylko o jego zachowanie, o to, że traktuje mnie jak zbędny element, kiedy zakochuje się w kolejnej kobiecie. Wyjawiłam mu swoje obawy, ale ani słowem nie odważyłam się wspomnieć o szaleńczej miłości, która zmieniała mój charakter. Duma, przez którą zachowywałam się skandalicznie – tłumacząc wszystko „zranioną przyjaźnią” – nie pozwoliła mi wyznaczyć prawdy. O ile wszystko byłoby prostsze, gdybym się jednak odważyła. Może Adam coś by rozumiał, a może poczułabym się

wolna i przestała łudzić. Gdybym usłyszała „nie kocham cię, nigdy nie kochałem i nigdy nie pokocham”, może przejrzałabym w końcu na oczy. Prawda jest lepsza od złudzeń. Zawsze.

Rozdział 11

Popołudniem, kiedy jechaliśmy z Adamem na umówioną wcześniej kawę, starałam się wyprzeć negatywne myśli, by móc skupić się na zwykłej, realnej rozmowie i chociaż tym razem nie niszczyć atmosfery zbytecznym analizowaniem. Wydawało mi się, że to obecnie najlepsze rozwiązanie. Potrzebowałam spokoju, chwili oddechu, Adam też tego pragnął. Nie mogłam przecież nieustannie wałkować tego samego tematu, bo to do niczego nie prowadziło. Dopiero przyszłość miała zweryfikować, jak w niesprzyjających warunkach potoczą się nasze wspólne losy.

– Adam, cieszysz się z perspektywy nowej i z pewnością bardziej kreatywnej pracy? – zapytałam, by przerwać ciszę, która ostatnio była między nami odrobinę niezręczna. Obnażała niepokojące poczucie obcości.

– Tak, rozwój jest dla mnie bardzo ważny. Nie lubię stać w miejscu, ale trochę się obawiam zmiany – odpowiedział.

– Dlaczego się boisz? – zapytałam.

– Basiu, te ostatnie lata to był najlepszy okres w moim życiu. Zwłaszcza początek mojej pracy, przyjaźń z tobą, a teraz wszystko się zmienia. Wyjadę z Wrocławia, a spędziłem tu całe swoje dotychczasowe życie. To nie jest dla mnie łatwe – odpowiedział.

– No tak, jasne. Z drugiej strony będziesz robił coś nowego, dużo się nauczysz i zaczniesz zarabiać prawdziwe pieniądze.

– Wiem, teraz, odkąd jestem odpowiedzialny za dziecko, muszę myśleć o pieniądzach bardziej niż dotychczas. To był główny powód mojej decyzji o zmianie zatrudnienia – tłumaczył.

Mam świadomość, że jego rodzina jest teraz najważniejsza. Mały Piotrek całkowicie zawładnął sercem Adama, nie ma więc szans, by rywalizować z tym uczuciem.

– Tak, rozumiem. Wszystko się zmienia. Nic na to nie poradzimy – odparłam.

– Basiu, my się nie zmieniamy. Między nami zawsze jest tak samo, od początku, i mam nadzieję zawsze już tak będzie – skończył Adam.

Kolejna godzina upłynęła na przyjemnym wspomnianiu przeszłości. Rozmawialiśmy o naszych początkach, o wszystkim tym, co sprawiło, że tak bardzo się ze sobą zżyliśmy. Miła atmosfera, przyjacielskie uśmiechy rozluźniły nas trochę i sprawiły, że wizja przyszłości na moment zniknęła z horyzontu. Było zwyczajnie – jak kiedyś między nami.

Wbrew pozorom nie poruszaliśmy tych najprawdziwszych powodów naszej zażyłości. Tematów, o których prawie nigdy nie mówiliśmy. Prawda była taka, że to, co w świecie realnym najbardziej nas od siebie oddzieliło, przyczyniło się jednocześnie do zespolenia naszych dusz. Ludzi nie łączą dobre przeżycia, ale traumy, które mocnym piętrem zarysowują się na ich charakterach. Nas też połączyło to, co było najtrudniejsze.

Półtora roku temu przeżywaliśmy poważny kryzys. Teoretycznie przyczyna tkwiła w tym, że Adam nie miał czasu na przyjaźń, a przy tym zaczął część swoich służbowych obowiązków zrzucać na moje barki, a ja za wszystko brałam zbyt dużą odpowiedzialność. Nie mogłam uporać się z zaległościami, a w obliczu nowej sytuacji nie widziałam w tym sensu. Nie chciałam tak zupełnie ulegać mężczyźnie, który na każdym kroku manifestował, jak niewiele ceni sobie naszą relację. Zrobiłam Adamowi awanturę o to, że mnie wykorzystuje i traktuje jedynie jak zło konieczne. Prawdziwa przyczyna kłótni tkwiła w niespełnionej miłości, która raniła moją dumę. Z każdym dniem byłam coraz bardziej zaangażowana, a Adam po raz kolejny się zakochał. Chodził szczęśliwy, podekscytowany nową znajomością i nieobecny wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Kolejny raz inna kobieta przejęła nad nim władzę, a ja czułam się bezsilna.

Wiedziałam, co się dzieje, ale nie zadawałam pytań. Nie chciałam, by znowu łamał mi serce. A on to robił bez najmniejszych skrępowań, jak gdybym była stworzona do takiego traktowania. Łudziłam się, że do czasu, aż nie usłyszę z jego ust wyznań dotyczących tej, która mi go odebrała, może to wszystko okaże się tylko okrutną pomyłką. Moje serce już nieraz zostało oszukane i zawiedzione. Nie chciałam przeżywać tego po raz enty. Tym bardziej, że zupełnie się nie uodparniałam. Tak samo mocno bolało mimo nieustannej powtarzalności. Do tego nie da się przyzwyczaić. Najpierw zdradził mnie dziadek, później matka i ojciec. Serce nie mogło wrócić do zdrowia, kiedy wciąż je łamano. Nie wiem, jak z tych poharatanych i niepasujących do niczego kawałków można było jeszcze stworzyć coś, co nadal funkcjonuje.

Adam kilka razy ranił mnie boleśnie. Zawsze, kiedy patrzył na Martynę czy wspominał imiona kobiet, których fizycznie pragnął. Nie zdawał sobie sprawy, jak ciężko przychodzi mi słuchanie jego zwierzeń. Liczyłam na to, że kiedyś się opamięta. Przeżyje kilka miłosnych historii i uświadomi sobie, że to ja jestem tą jedyną kobietą, z którą powinien dzielić świat. Przestanie zwracać uwagę na fizyczność, a dostrzeże kobiecość ukrytą w mojej duszy. Zacznie cenić bliskość, bezgraniczne zaufanie i podobieństwo poglądów, dostrzeże, że jestem jedyną osobą, na którą może liczyć bez względu na wszystko. Tamtego dnia, kiedy robiłam karczemną awanturę, zupełnie nie chodziło o nasze przyjacielskie relacje, nie chodziło też o obarczanie mnie dodatkowymi obowiązkami, bo i tak pomagałam mu częściej, niż tego oczekiwał. Co więcej, sama proponowałam pomoc i angażowałam się w jego sprawy, choć odbywało się to kosztem mojej pracy. Motywem przewodnim awantury, którą wywołałam, była zazdrość. Niekończące się pretensje, które od dłuższego czasu na niego wylewałam, czepiając się o wszystko, przestały na nim robić wrażenie. Nie przejmował się mną zupełnie, tak bardzo był pochłonięty zdobywaniem ukochanej, a ja cierpiałam z miłości, a przede wszystkim z obezwładniającego poczucia, że po kilku latach przyjaźni tak mało dla niego znaczę. Wspólnie przeżyte dni czy niekończące się rozmowy nie były warte więcej niż wspomnienia, które budziły. Most, który między nami budowałam, zaczął się sypać jak domek z kart. Dziewczyna, którą znał od miesiąca, zupełnie zawładnęła jego sercem. Adam wtedy jeszcze nie wiedział, jak traumatyczne były moje przejścia związane z seksualnością. Seks kojarzył mi się ze zdradą, brudem i samotnością. Takie wspomnienia zakodowałam z dzieciństwa i nie potrafiłam zmienić swojego podejścia. Fizjologia ludzkiego ciała w żadnym wypadku nie była dla mnie objawem naturalności, nie mogłam zaakceptować świadomości, że zaspokojenie fizycznych pragnień jest jednym z podstawowych praw człowieka. Każdy do tego dążył, a dla wielu był to mniej lub bardziej świadomy czynnik determinujący życie. Żadna przyjemność nie była warta tego, by stracić do siebie szacunek i poczuć się nic niewartym człowiekiem. Nie miałam nawet pewności, co, po latach obaw, mógł znaczyć dla mnie seks. Czy mógł dać mi spełnienie? Przynieść satysfakcję? Czy mogłam oddać się mężczyźnie, nie czując jednocześnie tego wszystkiego, co przez lata we mnie wrosło, uczyniło kaleką, wyrzutkiem, który nie potrafi nawiązywać prawdziwych, głębokich relacji? Wszystko w moim życiu było jedną wielką mistyfikacją.

Dzień wcześniej, kiedy zatopiona w smutku i pełna obaw o przyjaźń z Adamem spacerowałam nad Odrą, zobaczyłam ich razem. To było zupełnie niespodziewane. Zwykły letni spacer wzdłuż potężnych wałów chroniących okoliczne budynki przed zalaniem. Trasę znałam na pamięć, każde drzewo na szlaku, budynki czy nierówności terenu. Nie sądziłam, że coś może mnie jeszcze zaskoczyć. Widząc ich razem, poczułam uderzenie, jakbym dostała w twarz. Mocny cios, zupełnie nieoczekiwany, niewiele brakowało, bym osunęła się na ziemię. Serce zaczęło walić jak oszalałe, a we krwi niebezpiecznie wzrosło ciśnienie. Myślałam, że zaraz eksploduję od nadmiaru emocji. Przerazające uczucie, kiedy widzi się z tak bliska sytuację, w której jedyna ukochana osoba, otacza miłością kogoś zupełnie innego. I chociaż miałam świadomość, że

w jego życiu pojawiła się nowa kobieta, to ten widok rozwiał wszelkie nadzieje. Domyślanie się prawdy to jedno, ujrzenie jej to coś zupełnie innego. Temu nie da się zaprzeczyć.

Czułam, jak pustka wciąga mnie całą. Świat zaczął wirować, a ja musiałam przysiąc na trawie, by nie zwalić się jak kłoda. Nie uciekłam, chociaż ból był ogromny. Jak urzeczona wpatrywałam się w widok, który ranił mnie dogłębnie. Niczym masochistka pochłonięta bólem, który spływał na moją duszę, upajałam się tym widokiem, mimo że oddałabym wszystko, by nigdy go nie ujrzeć. Adam leżał na trawie, a krucha, ciemnowłosa dziewczyna siedziała na nim okrakiem, całując go namiętnie. Nie dostrzegłam rysów jej twarzy, była zdecydowanie za daleko. Zajęci sobą nie widzieli, że ktoś przygląda im się z ukrycia.

Nie pamiętam, jak dotarłam do domu, nie wiem, czy udało mi się chociaż na chwilę zasnąć tamtej nocy, ale wiedziałam, że muszę coś zrobić, by wyzwolić się spod jego władania. Nie mogłam tak żyć, nie mogłam dłużej kłamać. Nad ranem postanowiłam, że porozmawiam z nim od serca. Powiem mu takie rzeczy, że odsunie się ode mnie na zawsze, a ja będę mogła zacząć się leczyć z miłości...

Następnego dnia namówiłam go na chwilę rozmowy. Nie powiedziałam prawdy, nie wspomniałam, jaki jest główny motyw tego, że tak ostro reaguję. Zamiast tego wyznałam mu, że nie widzę dalej naszej przyjaźni. Nie mogę pozwalać się tak traktować, a fakt, że on wykorzystuje mnie, nie dając nic w zamian, bo nigdy nie znajduje dla mnie czasu, świadczy jedynie o tym, jak słaba jest ta zażyłość.

Adam był zaskoczony. Nie przewidział, że przedstawię sprawę aż tak dobitnie, że będę chciała zerwać kontakt. Nie protestował jednak, nie chciał niczego wyjaśniać – skoro postanowiłam, że już się nie przyjaźnimy, to jemu nie pozostawało nic innego, jak tylko się na to zgodzić. Nie planował o mnie walczyć, kiedy popołudniem za drzwiami biura czekała na niego piękna brunetka.

Tamten dzień był bardzo ważny, wiele między nami zmienił. Na początku myślałam, że to będzie koniec. Przez ponad dwa miesiące nasze relacje były bardzo przypadkowe. Owszem, czasem pijaliśmy jeszcze razem kawę, zazwyczaj jednak w większym gronie. Kiedy widzieliśmy się we dwójkę, nasze dyskusje dotyczyły tylko tematów służbowych, ewentualnie jakichś banalnych życiowych spraw, które można by poruszyć, spotykając na ulicy dawnego znajomego. Nic ponad to. Adam nie przeciwstawiał się. Uznał, że moje ustalenia obowiązują i nie starał się zniweczyć dystansu, który nas dzielił.

Ludzie w biurze dostrzegli, że coś się między mną i Adamem zmieniło. Obserwowali nas czujnie, a w biurze zaczęły rodzić się domysły podsycane niezdrową ciekawością. Czwarte piętro biurowca zaczęło żyć nową sensacją. Chcieliśmy zachować pozory, utrzymać w pracy przyzwoite relacje, ale nie było to łatwe. We mnie wciąż szalała złość i zazdrość, a Adam nie rozumiał, o co tak naprawdę chodzi. Nie uwierzył w podane przeze mnie powody, tym bardziej nie potrafił zrozumieć dlaczego zachowania, które latami były normą, nagle zaczęły mi przeszkadzać. Starał się dopasować, ale nie umiał chyba pojąć, o co właściwie toczą z nim boje. Być może liczył, że moje nastawienie samoistnie minie, bo nie wykazywał inicjatywy, by rozwiązać sytuację. Miałam wrażenie, że jedyne, czego potrzebuje, to spokój. Wchodził w nowy związek, a niespodziewana burza w naszych relacjach nie była mu na rękę. Zaczął czuć się nieswojo w mojej obecności, a ja siliłam się mocno, by zachować przy nim pewne pozory normalności. Nie chciałam się angażować, tylko przejść do relacji, jaka powinna łączyć znajomych z pracy.

Martyna próbowała wypytywać, co się dzieje, dlaczego Adam z radosnego człowieka stał się nagle odludkiem. Zdecydowaną większość przerw spędzał na rozmowach telefonicznych lub słuchając muzyki w swoim biurze. Nie chciał się integrować i na pierwszy rzut oka było widać,

że coś go gryzie. Koleżanka dostrzegła, że Adam już nie przychodzi do mnie tak często jak dawniej. Uspokoiliam ją, że wszystko jest w porządku. Nie chciałam, żeby za bardzo drażyła temat, nie chciałam jej wtajemniczać w kwestie naszych relacji.

Siedziałam przed biurkiem w pracy, słyszałam jego głos w oddali i zastanawiałam się, co ja właściwie robię, dlaczego tak się zachowuję. Z jednej strony miałam poczucie, że tak dłużej nie da się funkcjonować, w jego życiu pojawiła się nowa kobieta, a ja miałam coraz większe problemy z udowadnianiem sobie, że to, co nas łączy, to przyjaźń. Pamiętam, jak jeszcze tydzień wcześniej mówił mi, że jestem wyjątkową kobietą o niestandardowym spojrzeniu na świat. Kiedy zaprzeczyłam, twierdząc, że to, co dla jednych jest wyjątkowe, dla innych nie ma znaczenia, wyznał, że dla niego jestem wyjątkowa. Mówił to bez zawahania, choć głowę miał zaprzątniętą wizją brunetki, którą popołudniami brał w ramiona, zapominając o wszystkim, a już na pewno o mnie.

Wiedziałam, że nie byłabym w stanie dłużej tego ciągnąć, nie mogłam wciąż czekać i się ludzi, że wydarzy się coś niemożliwego, a jednak chwilami łapałam się na myśli, że być może właśnie straciłam najważniejszą osobę w swoim życiu. Czy miłość była tego warta? Czy nie lepiej było przeczekać, aż Adamowi minie zauroczenie, a ja znów wrócę do łask niczym ulubiony sweter z przeszłości, o którym wprawdzie się często zapomina, ale nigdy się go nie wyrzuca, bo jest częścią historii, która nas tworzy? W tamtych dniach, gdy miłość wygrała z przyjaźnią, coś we mnie pękło i wiedziałam, że jeśli się nie oddalę, zniszczę mu radość życia. Nie będę potrafiła traktować go jak bliskiego człowieka. Za dużo było we mnie żalu i bólu. Wobec tak negatywnych emocji nie da się przejść do porządku dziennego.

W pierwszych dniach po kłótni, a raczej kończącej wszystko rozmowie, kiedy mijałam go na korytarzu, a on bez cienia uśmiechu mówił mi „cześć”, miałam wrażenie, że jest kimś zupełnie obcym, że nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Bił od niego chłód i poczucie krzywdy. Odciał się zupełnie, nawet wśród innych pracowników nie udawał, że relacje między nami są lepsze. Byłam świadoma swojej winy, że pogorszył się przeze mnie jego komfort pracy, ale nie mogłam już tego zmienić. Powrotu nie było. Adam chyba też już tego nie chciał. Raz nawet wspomniał, podczas jednej z późniejszych rozmów, że przemyślał sobie to wszystko i teraz on także widzi, że nasze relacje nie były tak przyjacielskie, jak mu się wydawało. Stwierdził, że zobaczył nas w szarych barwach i może lepiej, że to, co zapoczątkowałam swoimi słowami, się zdarzyło. Odcięcie było nam potrzebne.

Nadal o nim myślałam. Nie przestawałam go kochać. Nasza przyjaźń nie funkcjonowała, ale Adam nadal był człowiekiem, dla którego zrobiłabym wszystko. Tygodnie upływały, a ja coraz bardziej uświadamiałam sobie, że stan między nami chyba już nie ulegnie zmianie. Owszem, było poprawnie, zaczynaliśmy z czasem coraz więcej rozmawiać, ale nie było bliskości. Koleżeńskie relacje bez żadnego zaangażowania. Adam nie wspominał ani słowem o swoim życiu prywatnym, chociaż wiedziałam po nim, że musi być zakochany. Takich rzeczy nie da się nie dostrzec, zwłaszcza kiedy sprawa dotyczy najbliższego przyjaciela. Nawet jeśli przyjaźń wydaje się już tylko snem, to jednak ludzkie zachowania są dosyć powtarzalne, a przez to mocno przewidywalne. Mnie też nigdy nie pytał o sprawy spoza naszego biurowca. Było spokojnie, poprawnie i całkowicie obojętnie. Nie wracaliśmy do dawnych sporów, nie poruszaliśmy trudnych tematów, a już na pewno nie dążyliśmy do poprawy sytuacji.

Rozdział 12

Minęło kilka miesięcy, od kiedy nasza przyjaźń została zawieszona. Omijaliśmy się elegancko, by nie wchodzić sobie zbyt w drogę. Czułam, że panuje między nami duży dystans. Adam nie próbował niczego wyjaśniać, a ja, zakochana z urażoną dumą, podjęłam wówczas decyzję, że nie mogę dłużej tak się szarpać. Czas zakończyć przeszłość i odciąć się od tego, co mnie rani. Pragnęłam otworzyć drzwi do nowej przyszłości. To nie była jego wina, ale i siebie nie mogłam obwiniać za uczucia, których nie potrafiłam wyrzucić z głowy.

W moim życiu zaczęły się zawirowania. Dziadek wchodził w ostatni etap choroby. Przyjeżdżałam do domu na większość weekendów, bo matka tego ode mnie oczekiwała, ale nie czułam się z tym dobrze. Nie chciałam być przy nim i nie chciałam mu pomagać. Matka twierdziła, że w ostatniej drodze powinnam odpuścić i pomóc mu na tyle, na ile było to możliwe, ale ja nie mogłam kolejny raz wyrzekać się siebie. Nie potrafiłam przecież udawać, że wszystko jest dobrze. Zachowywałam się uprzejmie i przyjaźnie, ale nie byłam zbyt wylewna. Nie mogłam kłamać, że cierpię nad losem człowieka, którego po długich latach nienawiści w końcu zaczęłam obdarzać spokojną obojętnością. Matka bardzo przeżywała chorobę dziadka. Nie czuła się dobrze psychicznie i wybuchała co rusz płaczem lub złością. Kiedy się złościła, atakowała mnie. Odreagowywała stres i bezsilność. Dziadek w ostatnich dniach swojego życia był nietykalny. Właściwie przez większość życia objęty był specjalnymi zasadami traktowania – teraz były one zaostrzone. Matka czasem, widząc moją obojętność, mówiła: „Możesz być zadowolona, dziadek cierpi, tak jak chciałeś”. Widziałam w jej oczach złość, która czyniła ze mnie kata, a ja, wbrew przekonaniom matki, nie życzyłam mu zła. Przez większość złamanego dzieciństwa chciałam, by przeżył to, co ja, by poczuł, jak to jest być nic niewartym śmieciem, czuć upokorzenie i mieć świadomość swojej winy. Odpowiedzialność za to, co się wydarzyło, niszczyła mnie od wewnątrz. Nie potrafiłam się z tym uporać, a nikt nie próbował mi pomóc. Kurtyna milczenia zapadła na naszą rodzinę. Los nie zesłał dziadkowi takiej kary, a żadna inna nie była dla mnie satysfakcjonująca. Nie pragnęłam jego choroby ani bólu. Nie dręczyły mnie jego dolegliwości, ale silnie wpływała na mnie sytuacja z matką. Patrzyłam na nią i wiedziałam, że dziadek zawsze będzie najważniejszy. Nieważne, co zrobi, kogo skrzywdzi, matka darzyła go największą miłością. Trudno było pogodzić się ze świadomością, że ja już na zawsze pozostanę oprawcą w oczach matki. Zniszczyłam relacje rodziny, choć jedyną moją winą było to, że pozwoliłam się skrzywdzić. Po latach łatwiej przychodziło mi uświadomienie sobie prawdy.

Czasami zrozpaczona trudną sytuacją chciałam przybiec do Adama, przytulić się do niego mocno i opowiedzieć, jak jest mi źle. Może nawet wystarczyłoby jego obecność i świadomość, że on jeden jest po mojej stronie, ale Adam żył wówczas swoim życiem. Wiedział, że mój dziadek umiera, wiedział, że sprawy w moim domu są skomplikowane, ale uznał, że jeżeli sama zdecydowałam się wyrzucić go ze swojego życia, to znaczy, że nie powinien się narzucać. To ja podjęłam decyzję i ja ponosiłam konsekwencje konfliktu, który sama wzniciłam. Miałam do niego żal, że, mimo iż nasza zażyłość była wspomnieniem, nie próbował mi pomóc jak człowiekowi, z którym łączyła go przeszłość. Skoro nie byłam jego przyjacielem, nie miałam dla niego znaczenia. Skupił się na najbliższej kobiecie, a moje miejsce w jego sercu szybko zostało wymazane. Nie sądziłam, że tak łatwo można kogoś przekreślić...

Dziadek umarł, a sytuacja w domu zaczęła się normować. Mijały tygodnie, a kontakt z Adamem zaczynał być bardziej pozytywny. Z dnia na dzień pojawiały się nowe sprawy do obgadania, nie wychodziły poza ramy znajomości z pracy, ale oboje coraz częściej szukaliśmy kontaktu. Niby przypadkiem, ale zawsze zdarzało się coś, co pozwalało nam chociaż o kilka

centymetrów zmniejszyć dystans, który tak szybko między nami narósł. Nie dyskutowaliśmy o przeszłości, o naszych zatargach i żalach, ale budowaliśmy na zgliszczach nowy, kruchy początek, namiastkę normalności. I kiedy coś między nami drgnęło, Adam zaczął się zmieniać. Zamknął się jeszcze bardziej, a w jego oczach widać było, że coś bardzo go dręczy. Emanował z niego smutek. Wiedziałam, że coś się dzieje, że znowu coś stanęło na naszej drodze. Nie mogłam go zapytać wprost, ale mimo barier czułam, że on bardzo chce zrzucić ciężar, który mocno mu doskwierał. W takich momentach nie pamiętałam o dawnych urazach, najważniejsze było to, żeby Adam poczuł się lepiej. Nie umiałam ze spokojem patrzeć na jego smutek, nie mogłam nie dręczyć się tą sytuacją, choć bezpośrednio mnie nie dotyczyła. Liczyłam, że może minęło jego kolejne zauroczenie, a smutek spowodowany jest rozstaniem i kiedy to wszystko minie, Adam znów będzie częścią mnie. Byłabym w stanie wybaczyć mu wszystko, nie było nic cenniejszego niż jego obecność w moim życiu. Zraniona duma nie miała znaczenia, kiedy sprawa dotyczyła prawdziwej, głębokiej miłości.

Sekret Adama okazał się ciosem, który na kilka dni wyłączył mnie z życia, odarł ze wszystkich złudzeń. Ewa, brunetka, dla której stracił głowę, zaszła z nim w ciążę. Minęło zaledwie kilka miesięcy od ich pierwszego spotkania, a już było pewne, że ich losy zostaną połączone na zawsze. W momencie, kiedy mi powiedział, po raz pierwszy tak naprawdę uzmysłowiłam sobie, że nigdy nie będziemy razem. Dziecko zmieniało wszystko. Teraz i tak nie miało znaczenia, czy zauroczenie Adama minie, bo on nigdy nie zostawił matki swojego dziecka.

Dziewczyna była zszokowana niespodziewaną ciążą. Nie tego chciała, nie tak szybko. A on bardzo się bał. Nie chciał stracić ani jej, ani dziecka. To była tajemnica, która dręczyła go tak mocno. Trudno było mi udzielać mu porad, ciągle pamiętałam tych kilka miesięcy naszej rozłąki, a on oczekiwał ode mnie przyjacielskiego wsparcia. Chciał, żeby ktoś go wysłuchał i przekonał, że wszystko będzie dobrze. Potrzebował mnie jak nigdy wcześniej. Byłam jedyną bliską mu osobą, a nasze nieporozumienia w obliczu nowego życia wydawały mu się błahe i nic nieznaczące. Patrzyłam na niego, a w głowie wciąż słyszałam cichy głos, który ostrzegał mnie, że to już nigdy się nie skończy, nigdy nie przestanę go kochać. Najgorsze, że nie mogłam też oderwać się od niego. Nie mogłam zostawić go w takim momencie życia. Nie mogłam przecież powiedzieć: „Przyjacielu, nie dostrzegałeś mnie, kiedy wszystko było u ciebie dobrze i byłeś zakochany, więc teraz, kiedy masz problemy, radź sobie sam”. Nie chciałam, żeby mieszał mnie w swoje sprawy, tym bardziej, że ciągle go kochałam. Słowa, które wypowiadał, raniły mnie doszczętnie. I chociaż z jednej strony, jako oddana przyjaciółka, chciałam, żeby wszystko się ułożyło, zwłaszcza że w grę wchodziło dziecko, to gdzieś w głębi nie mogłam pogodzić się z tym, że opowiada mi o swojej miłości do tej dziewczyny. Znał ją tak krótko, a już była dla niego całym światem. Mnie natomiast potrzebował, żeby ułożyć swoje życie.

Pierwszych kilka nocy przeplakałam. Nie mogłam jeść, nie mogłam skupić się na niczym, co nie było związane z Adamem i dzieckiem. Prześladowało mnie to. Zupełnie jakby ktoś zamknął przede mną drzwi i powiedział, że już nigdy nie będę mogła ich otworzyć. Koniec marzeń o miłości, koniec wiary, że jego częste stany zakochania przemijają, a on w końcu mnie dostrzeże. Teraz to już i tak nie miało znaczenia. Nic już się nie liczyło.

Po tamtej wiadomości myślałam, że już nic nie będzie w stanie mnie bardziej zboleć, a jednak dotkliwie się myliłam... Okazało się, że kiedy nasza przyjaźń stała się znów silniejsza, oparta na nieszczęściach i obawach, które nas – o dziwo – łączyły, nadeszło kolejne widmo. Odejście Adama z pracy zmieniało bowiem wszystko. To był koniec ostateczny, który miał mi go odebrać już na zawsze. Wyrok bez możliwości odwołania.

Rozdział 13

W nocy miałam sen. Najpiękniejszy ze snów. Gdyby tylko mógł okazać się rzeczywistością.

Śniło mi się, że znalazłam się z Adamem na łące. Siedzieliśmy na trawie w cieniu olbrzymiego dębu. Jego ręce dotykały moich jasnych włosów, a ja udawałam, że tego nie dostrzegam. Nie chciałam go spłoszyć. Uznałam, że jeśli nie zacznę mówić o tym, co się właśnie zaczyna między nami dziać, to nie będzie trzeba niczego nazywać, niepotrzebnie komplikować. Czas płynął między nami leniwie, a ja wpatrywałam się w jego brązowe oczy. Oczy, w których można było dostrzec cały wszechświat. Było tam wszystko, czego potrzebowałam. Adam ujął w dłonie moją rękę i położył ją na swoim sercu. W końcu coś między nami miało szansę się wydarzyć, przekształcić duchową zażyłość w bliskość fizyczną.

Nie bałam się tego, co miało wkrótce między nami zapłonąć. Czekałam, aż Adam w końcu odważy się wziąć sprawy w swoje ręce i pojąć mnie jak mężczyzna swoją ukochaną.

– Basiu, kocham cię, zawsze cię kochałem. Nigdy nie wiedziałem, jak mam przejść od przyjaźni do relacji damsko-męskich z najważniejszą kobietą w moim życiu, ale wiem, że zawsze byłaś dla mnie na pierwszym miejscu – powiedział głębokim męskim głosem.

– Adam, kocham cię prawie od samego początku, kiedy się pojawiłeś. Nie wiem, kiedy dokładnie to się zaczęło, ale wiem, że jesteś mężczyzną mojego życia. Tym jedynym – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Basiu, już zawsze będziemy razem, nikt nigdy nas nie rozdzieli – odparł Adam, po czym zbliżył swoje usta do moich. Czułam jego wargi. Nie mogłam złapać tchu, tak bardzo byłam szczęśliwa, że w końcu zrozumiał, że mnie kocha. Miałam ochotę krzyknąć, ale nie chciałam zmać ciszy, za wszelką cenę nie mogłam przecież obudzić demonów, które zechcą mi go odebrać.

Budzę się z najpiękniejszego ze snów. Na ustach wciąż czuję jego pocałunek, a na skórze dotyk jego rąk. Oddałabym wszystko, byle tylko się nie obudzić. Otwieram oczy, na zegarku siedem minut po szóstej. Za chwilę powinien zadzwonić alarm, ale automatycznie go wyłączam. Chce mi się płakać, tak wielki czuję zawód. Sen był tak bardzo realistyczny, czekałam na niego tak długo, a kiedy w końcu okazało się, że Adam jest mój, sen się skończył.

Niekiedy przeżycie sennego koszmaru, w którym ścigają cię największe strachy, może być lepsze niż najpiękniejszy sen o miłości. Rozpłakałam się, przypominając sobie, że Adam ma ukochaną i dziecko, a na dodatek wkrótce odchodzi. Zostały trzy tygodnie. Dokładnie czternaście dni roboczych, wliczając dzisiaj. Nie wiem tylko, co wydarzy się później. Czy coś między nami ma jeszcze prawo się zdarzyć?

Nie wiem, dlaczego tak bardzo dręczy mnie nie tylko rzeczywistość, ale i moja własna podświadomość. Nie dość, że trudno mi przetrwać zwykłe dni, to jeszcze nocami albo nie mogę zasnąć, albo wybudzam się przerażona lub też dla odmiany mam sny, które z tego wszystkiego są chyba najbardziej okrutne. W zeszłym tygodniu śniłam, że Adam powiedział mi, że jednak nie odchodzi i już zawsze w pracy będziemy razem pić kawę i rozmawiać jak przyjaciele. Po przebudzeniu nie mogłam się otrząsnąć, uświadamiając sobie, że to tylko sen. Rzeczywistość nie ulegnie zmianie, już temu nie zapobiegnę.

Siedząc w tramwaju, w drodze do pracy, zaczęłam się mimowolnie zastanawiać nad swoim snem. Czy Adam przez te cztery lata kiedykolwiek czuł do mnie coś więcej niż przyjaźń? Czy kiedykolwiek zastanawiał się, jakby to było, gdybyśmy byli razem? I czy przegapiłam moment, w którym była jakaś szansa na stworzenie przez nas związku? Nie pierwszy raz

zaprzętałam sobie głowę myślami o tym, co by było, gdybyśmy oboje odważyli się zrobić coś więcej. A może to zawsze było skazane na porażkę, może to, że nic między nami się nie wydarzyło, to nie był strach przed utratą przyjaciela, ale po prostu brak jakichkolwiek miłosnych uczuć z jego strony.

Miałam w zwyczaju zadręczać się trudnymi myślami. Nie wiem nawet, czy gdybyśmy byli parą, to pomimo przyjaźni nasza relacja byłaby w stanie przetrwać. Czasami miłość to zdecydowanie za mało, a my oboje nie mieliśmy najłatwiejszych charakterów, pomijając aspekt moich problemów z fizycznością. Nigdy przecież nie sprawdziłam, jak to jest być z mężczyzną.

Tramwaj mknął przez miasto. Obrazy za szybą zmieniały się błyskawicznie. W wagonie było cicho i spokojnie, nikt nie zakłócał wszechobecnej ciszy. Słychać było tylko stukot kół o szyny. Żadne słowo nie padło przez ponad dziesięć minut jazdy. Nie działało się nic, co mogłoby wyrwać mnie z rozmyślań, które potęgowały jedynie przygnębienie. Świat nie miał dla mnie za grosz litości. Nie miałam nawet kiedy schować się przed rzeczywistością i spróbować ulżyć własnym emocjom. W zeszły weekend zmarnowałam część soboty na spotkanie u Martyny, które, zgodnie z przewidywaniami, było męczące i jałowe, bo musiałam grać osobę towarzyską, która wcale nie spogląda co chwilę na zegarek, by wychwycić idealny moment do ucieczki. Rozmawiałam nawet z kilkoma osobami, a może raczej słuchałam, jak inni mówili. Ludzie wpadali w monologi skupieni na sobie tak bardzo, że zupełnie nie interesowało ich, co słuchacz ma do powiedzenia. Chcieli tylko wyrzucić z siebie kilka historii, które pozwalały im wierzyć, że są ciekawszymi i lepszymi ludźmi, niż wskazywałaby na to rzeczywistość. Słuchałam więc, potakując głową, ewentualnie uśmiechając się przyjaźnie i rzucając kilka entuzjastycznych słów w stylu: „Naprawdę? Niesamowite... To bardzo ciekawe”. Może to był mój błąd, bo nie mogłam opędzić się od rozmówców, którzy w kolejce oczekiwali, żeby ktoś w końcu wysłuchał ich bełkotu. Wczoraj w pracy Martyna wspomniała mi, że kilka osób mówiło, jaka jestem sympatyczna i przyjacielska. Podziękowałam i skłamałam, że na imprezie było bardzo miło. W rzeczywistości myślałam tylko o Adamie, to on był cały czas przy mnie, jego widziałam przed oczami, chociaż był w innej dzielnicy miasta u boku Ewy i dziecka.

Ten weekend nie zapowiada się lepiej. Muszę w końcu odwiedzić matkę. Przekładam to od ponad dwóch tygodni, szukając wiarygodnej wymówki, co nie jest już tak łatwe. Matka zaczyna się domyślać, że jej unikam. Wie, że coś się dzieje, ale przez telefon nie chce drążyć. Pewnie czuje, że ma to związek z odejściem Adama. Mam nadzieję, że wykaże się taktem i nie będzie mnie wypytywać. Nie zniosę tego, nie chcę już dłużej udawać, że wszystko jest dobrze. Z każdym dniem jest mi coraz trudniej. Czasem w nocy budzę się z płaczem, myśląc tylko o tym, ile dni mi pozostało. Nie wiem, jak długo wytrzymam, dręcząc się nieustannie.

Może najgorsze nie jest odejście Adama, ale świadomość, że tego nie uniknę. Cholernie się boję, że kiedy od wyjdzie z biura po raz ostatni, zupełnie się rozsypię, stracę jakikolwiek sens dalszego trwania. Chciałabym się mylić, trudno sobie wyobrazić, że możliwy jest inny scenariusz tej historii. Opcje są trzy, z czego tylko jedna jest wiarygodna, dwie pozostałe są tak mało prawdopodobne, że bardziej realna wydaje mi się wygrana w grach losowych, gdzie na miliony grających tylko jedna osoba oddaje „złoty strzał”.

Pierwsza opcja przewiduje złamane serce i rozstanie przyjaciół na zawsze. Druga zaś, ta mniej realistyczna, to ta, w której mogłoby się okazać się, że Adam przez ten cały czas mnie kochał. I wcale nie chce mnie opuścić. Nie planuje się rozstawać i, wbrew oczekiwaniom Ewy, będzie nadal się ze mną widywał. To wprawdzie nie zmieniliby wiele, bo nawet jeśli to nie moje serce będzie złamane, to na pewno ból odczuje mały chłopiec, który codziennie czeka na Adama. Kobieta być może pogodziłaby się ze stratą, ale synek nigdy by mu nie wybaczył. Odpowiedzialność za rodzinę nie pozwoliłaby postąpić inaczej, jak tylko zostać z nimi. Ja

również nie umiałabym skrzywdzić dziecka mimo marzeń o jedynym mężczyźnie, którego kochałam. Chciałabym, żeby rozstanie z Adamem okazało się wybawieniem. On nie przeżywa tak silnie odejścia z pracy, sam podjął tę decyzję, wiedział, na co się pisze. Nie sądzę też, aby wizja utraty kontaktu ze mną kiedykolwiek go blokowała. Adam ma rodzinę, która go wspiera i wyczekuje każdego popołudnia. Ja, poza nim, nie mam nikogo. Niestety, on jest w olbrzymiej części jedynie wytworem moich marzeń, bo codziennego kontaktu jest między nami niewiele.

Trzecia opcja, równie mało rzeczywista, to wariant, w którym okazuje się, że rozstanie z Adamem przynosi mi ulgę, a ja zaczynam zupełnie nowe życie wolna od niemożliwej do spełnienia miłości.

Rozdział 14

Siedziałam w pociągu, który stał na jednej z wielu stacji, oczekując na przyjazd innego opóźnionego składu. Niezapowiedziana przerwa przedłużała się, a ja, mimo gorąca, cieszyłam się, że mój przyjazd do rodzinnego domu odwlecze się w czasie. Im dłużej nie było mnie w domu, tym trudniejsze bywały powroty. Czułam, że między mną a matką narasta dystans, a sporadyczne i raczej zwięzłe rozmowy telefoniczne nie były w stanie odnowić bliskości między nami – nie liczyłam na to. W tej kwestii stałam się konformistką i o ile byłam gotowa walczyć o relację z Adamem do ostatniej kropli krwi, o tyle w kontaktach z matką pragnęłam już tylko spokoju. Żadnych spięć czy pretensji, zwyczajne, spokojne życie. Nie wierzyłam w cudowne uzdrowienie naszych relacji. Zbyt wiele było zawodów przez te lata, nie chciałam kolejny raz stawiać zamków na piasku. To po prostu nie mogło się udać.

Matka zachorowała na nerwicę lękową, kiedy miałam niespełna sześć lat. Poza nazwą niewiele więcej wiedzieliśmy, ciężko było więc przewidzieć, jaka jest przyczyna choroby, jej leczenie i czy istnieją realne szanse na poprawę stanu zdrowia. Schorzenie aktywowało się kilka tygodni po śmierci babci, a związane było z ciężkim dzieciństwem, o czym dowiedzieliśmy się dopiero po kilku latach. Nie wiem nawet, czy sama matka miała świadomość, z czego wynikały objawy jej choroby. Nie знаła innego wychowania niż to, które wyniosła z rodzinnego domu, nie mogła więc wiedzieć, że obezwładniający lęk przed śmiercią, duszności i ciągły smutek są tak ściśle powiązane z traumatycznym dzieciństwem. Jedyne, co matka wiedziała, to, że swoją jedyną córkę chce wychować w zupełnie inny sposób. Instynktownie odrzucała zasady, których ją wyuczono. Pewne kwestie nie pozostały rozwiązane – jak przytulać własne dziecko, kiedy samemu nigdy wcześniej nie było się tulonym. Dotyk kojarzył się z bólem, a nie z czułością.

Nie umiem wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy jedyne osoby, które kochasz, znęcają się nad tobą psychicznie i fizycznie, a ty nawet nie wiesz, że to nie jest właściwe. Rodzice przecież zawsze chcą tego, co najlepsze dla dziecka, kochają je i ochraniają – dlaczego u ciebie jest inaczej? Nic dziwnego, że wieloletnia trauma odbiła się na całym przyszłym życiu mojej matki. Psychika musiała w końcu zwolnić, a kiedy umarł tyran i nie było już zewnętrznej kontroli, umysł matki przestał nad nią panować. A może właśnie lęki były stadium największej kontroli, a to, że z dnia na dzień z energicznej i wciąż pełnej działania osoby stała się bezwolną ofiarą losu, pogrążoną w smutku, strachu i beznadziei, było najlepszym tego dowodem. Nic od niej nie zależało. Pojawiał się lęk, a ona wtedy odpływała. Nie było już matki.

Jej choroba była naszym pierwszym prawdziwym rozdzieleniem. Byłam zbyt mała, by rozumieć, co dzieje się w domu, dlaczego ukochana matka wciąż płacze, dlaczego jest smutna i w niczym nie widzi sensu. Ta przemiana była tak zaskakująca, że przez krótką chwilę miałam nadzieję, że kiedy obudzę się następnego dnia, ona znów będzie taka jak dawniej. Dni mijały, a stan matki nie ulegał poprawie. Bała się wychodzić z domu. Opanował ją irracjonalny lęk, którego nie dało się opanować. Pojawiał się kilka razy dziennie. Nie było jednak żadnej reguły, niczego, przed czym można by się bronić wypracowanym schematem, niczego, co pozwalałoby zrozumieć mechanizm działania choroby. Czasami lęk się nie pojawiał, a czasem budził ją ze snu. Nigdy nie można było przewidzieć, kiedy nastąpi atak, matka nieustannie żyła w strachu. Strach ją determinował.

Byłam małą dziewczynką o jasnych blond włosach. Miałam skończone sześć lat i żadnego pojęcia o świecie, który mnie otaczał. Dostrzegałam smutek, widziałam strach, czułam, jak bardzo się wszystko zmienia, ale tego nie rozumiałam. Mój umysł nie był na tyle rozwinięty, by uporządkować rzeczywistość, tym bardziej, że w tamtych czasach wierzyłam jeszcze, że moi

dziadkowie byli dobrymi, kochanymi ludźmi. Nigdy bym nie uwierzyła, że mogliby w taki sposób traktować swoją jedyną córkę. To było zupełnie poza mną.

Co rano przychodziłam do pokoju matki, by zaplotła mi warkocze, a ona wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem. Czasami próbowała się uśmiechać i udawać, że wszystko jest w porządku, ale cała jej sylwetka przeczyła tym słowom. Czułam, że ją tracę, ale nie wiedziałam, jaka jest tego przyczyna. Nie pojmowałam otaczającego świata. Do matki nie można już było przychodzić z problemami, nie chciała się przytulać, była wciąż pogrążona w smutku. Wyglądała jak matka, którą znałam, ale z pewnością nią nie była.

Ojciec nie potrafił odnaleźć się w sytuacji, skupiał się przede wszystkim na pracy, sądząc, że stan żony to tęsknota za zmarłą matką, moją babcią. On też nigdy nie słyszał historii z przeszłości. Matka zarzekała się, że ma dobrych rodziców, którzy pomogli jej wybudować dom i opiekują się dzieckiem, kiedy sama jest w pracy. Kłamała tak dobrze albo, co gorsza, być może sama wierzyła, że to, co mówi, jest prawdą. Jeżeli można przekonać człowieka do samobójstwa w imię religii, to dlaczego nie wmówić dziecku, że świat, w którym żyje, jest jedynym właściwym. Umysł potrafi zaakceptować wszystko, jeśli tylko umiejętnie manipuluje się człowiekiem. A dziecko, niczym gąbka, chłonie każdą prawdę wypowiedianą przez ukochanych rodziców. Takiej władzy ciężko się sprzeciwić.

Dziadek zamieszkujący parter naszego domu pod lasem uznawał zachowanie matki za fanaberie. Nie miał pojęcia, co się z nią dzieje, i nie ukrywał, że drażni go ta nieporadność. Matka była dziwna, płacziwa i rozkojarzona, a to niszczyło jego poukładany i schematyczny świat. Liczył, że po śmierci żony życie znów będzie piękne i zdecydowanie nie było mu na rękę, że dla odmiany córka zaczyna sprawiać problemy. Matka po kilku wizytach u psychologa zaczęła nieśmiało przebąkiwać o trudnym dzieciństwie, ale dla dziadka były to bzdury. Córka zawsze miała dach nad głową, jedzenie, nowe ubrania, możliwość chodzenia do szkoły i nie musiała pracować czy walczyć o byt. Jakie to trudne dzieciństwo? W najmniejszym stopniu nie czuł się odpowiedzialny za los swojej córki. Hochsztapler z tytułem doktora psychologii nagadał jej bzdur i zaczęły się problemy. Nigdy wcześniej nie wspominała, że coś jest nie tak. Teraz nagle, kiedy przeszłość już dawno nie istniała, zaczęto szukać odpowiedzi. Wiadomo, to jest zawsze najprostsze rozwiązanie – tak uważał dziadek i chodził niezadowolony, kiedy tylko matka wspominała o swojej chorobie. Nie chciał tego słuchać. Na starość należał mu się spokój, a nie problemy, które nie były przecież jego udziałem.

Przez kilka pierwszych lat nie byłam w stanie pojąć, co się dzieje w moim domu. Docierały do mnie sygnały, mimo że nie potrafiłam ich opisać. Musiałam sama radzić sobie z życiem, ale wciąż jeszcze łudziłam się, że matka wyzdrowieje i wszystko wróci do normy. Chciałam, by była szczęśliwa, i chciałam znów poczuć się dzieckiem, nie czuć odpowiedzialności za jej stan i sytuację w domu. Nie potrafiłam się jednak od tego oderwać. I chociaż wychodziłam na podwórko, by bawić się z rówieśnikami, to przed oczami miałam wciąż jej smutną twarz. Czasem widziałam ją schowaną za firanką, jak wpatrywała się w rozwrzeszczane dzieci na łące nieopodal lasu. Byliśmy pełni życia i energii, a ona siedziała w swoim więzieniu i z bezpiecznej odległości przyglądała się światu, którego już nigdy miała nie doświadczyć. Na zawsze została uwięziona w klatce własnej choroby. Tak minęło kilka pierwszych lat. Przyglądałam się jej uważnie i nie wiedziałam, czy prawdziwa jest matka z przeszłości, która zaczynała stopniowo zacierać się w mojej pamięci, czy ta nowa – zalękniona i ciągle smutna. Patrzyłam, jak inne dziewczynki chodzą ze swoimi mamami za rękę, tulą się do nich, i zastanawiałam się, dlaczego w moim domu jest inaczej.

Wpatrywałam się w kobietę, którą kochałam ponad życie, a której nie znałam zupełnie. Nie opowiadała mi wówczas o swoich traumach i tajemnicach. Jeszcze przez kilka lat miała mi

tego oszczędzić. Nie wiedziałam, co zrobili jej dziadkowie i co miało zaważyć nie tylko na jej, ale i na moim życiu. Matka była dla mnie kimś, kto podawał jedzenie, prał ubrania, sprzątał dom. Kiedy tylko mogła, unikała kontaktu z ludźmi. Zazwyczaj widziałam ją, jak pustym wzrokiem wpatrywała się w ścianę. Nie wiem, czy za ścianą dostrzegала swoją przeszłość, czy matkę-katę, która zniszczyła jej życie, a mimo to wciąż za nią tęskniła.

I kiedy już myślałam, że sytuacja między mną a matką zawsze będzie tak niepokojąco obca, co stopniowo zaczynałam przyjmować za pewną normę, zdarzyło się coś, co oddzieliło nas zupełnie. Miałam wówczas jedenaście lat. Wydaje mi się, że choroba matki przyśpieszyła moje dojrzewanie, a ja czułam się bardziej osobą dorosłą niż beztroskim dzieckiem. Pamiętam tę noc, która zmieniła wszystko. Był grudzień, noc jaśniała od spadającego śniegu, a ja musiałam odprowadzić dziadka do mieszkania. Matka mi kazała, obawiając się, że pijany starzec nie trafi na parter po suto zakrapianej imprezie imieninowej mojego ojca.

Wprowadziłam go do mieszkania, usiadłam mu na kolanach, a on zaczął mnie obmacywać. Nie był to pierwszy raz, ale pierwszy tak intensywny. Włożył mi rękę do majtek i zaczęłam odczuwać ból. Nie zmusił mnie do niczego, nie krzychał na mnie ani niczym nie groził. Dotykał mnie i chociaż nie uszkodziło to mojego ciała, bezpowrotnie wtopiło się w moją duszę. Ręce błądzące po moim tułowi, których już nigdy miałam nie wymazać z pamięci. Po kilku minutach, które przeżywałam wciąż na nowo przez kolejnych siedemnaście lat, wyszłam w noc i usiadłam na schodach pokrytych gęsto śniegiem. W ułamku sekundy zdałam sobie sprawę, co się wydarzyło. Tego nie da się opisać słowami, nie da się zrozumieć ani uzasadnić. Koszmarne uczucie upokorzenia, przerażenia i wszechobecnego brudu przytłoczyło mnie. To był definitywny koniec mojego dzieciństwa. Tak jak gdyby ktoś jednym ruchem dłoni przewartościował zupełnie świat, w którym żyłam. Nie miałam pojęcia, co powinnam teraz zrobić. Nie opuszczała mnie świadomość, że powinnam zachować tę tajemnicę dla siebie. Czułam się winna, że nie uciekłam wcześniej, że sama usiadłam na jego kolanach i że pozwoliłam, by to zrobił. Bałam się, że jeśli nie powiem matce jeszcze tej samej nocy, następnego poranka dziadek może całą winę zrzucić na mnie. Miałam jedenaście lat, ale myślałam jak dorosły. Nie przyszło mi do głowy, że jestem dzieckiem, że nie zrobiłam niczego złego i że nikt nigdy nie powinien dotykać mnie w taki sposób. Czułam, że odpowiadam za to, co się stało. Wiele lat winiłam się tak mocno, że poza matką w dniu zdarzenia, i Adamem, nikomu więcej nie wspominałam ani słowem o tym, co się wydarzyło. Udawałam, że nie pamiętam, chociaż w mojej głowie nigdy nie udało mi się od tego uciec.

Tamtej nocy po raz pierwszy i ostatni opowiedziałam matce, co się stało. Sprawiało mi to ogromną trudność, nie byłam w stanie mówić, dusiłam się od płaczu. Ojciec spał w sypialni zamroczony alkoholem. Nie uczestniczył w nocnych wydarzeniach. Matka przyrzekła, że załatwi sprawę rano, żebym się niczym nie przejmowała i nikomu więcej o tym nie mówiła. Przytuliła mnie wówczas i powiedziała, że mnie kocha. Nie często mnie tuliła, rzadko też wspominała o matczynych uczuciach. Tak bardzo się bałam tego, co działo się w mojej głowie. Czułam smród, który unosił się tuż przy mnie. To moje upokorzenie tak cuchnęło. Wiedziałałam, że tam na dole zostawiłam swoją duszę.

Weszłam do łazienki, ciągle szlochając. Na szczęście odgłos ściekającej z prysznicy wody zagłuszał mój wybuch. Kapałam się bardzo długo. Miałam wrażenie, że mijają godziny, czas płynął wolniej niż zazwyczaj. Woda ściekała po moim ciele, nie dotykając go zupełnie. Tarłam gąbką tak mocno, aż skóra zaczęła mnie boleć, ale nie byłam przez to ani trochę czystsza. Brud z każdą sekundą wrastał w moją psychikę, rozrastał się w mojej głowie. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że zostanie ze mną na zawsze, ale już wtedy czułam, że moje życie się zmieniło. Zdałam sobie z tego sprawę w momencie, gdy wyszłam z kuchni dziadka. Patrzyłam na

spadający śnieg, po twarzy spływały mi łzy, a ja bałam się jak nigdy dotąd – swojej winy i życia, które mnie teraz czekało. Bałam się tego, kim się okazałam. Nieważne, na ile lat wskazywała moja metryka, byłam już wtedy dorosła...

W nocy nie mogłam zasnąć. Zamykałam oczy w nadziei, że kiedy obudzę się rano, wszystko okaże się tylko koszmarem, ale sen nie przychodził. Na nowo przeżywałam sytuację z przed kilkudziesięciu minut. Nie było wytchnienia. Rano okazało się, że odczucia są jeszcze mocniejsze niż przed kilkoma godzinami. W jasności dnia nie mogłam już skryć własnego grzechu. Wtedy odeszła blondyneczka z grubymi warkoczami, a pojawiłam się ja. Narodziła się Basia.

Zdominowana przez poczucie winy, opuszczona przez bliskich, żyjąca w ciągłym brudzie i nienawiści, która z dnia na dzień zaczęła kiełkować w głowie. Kolejne dni okazały się takie same. W domu nigdy więcej nie wracano do wydarzeń z pamiętnej nocy. To było tabu, które przerażało nawet dorosłych. Matka następnego dnia wspomniała, że dziadkowi jest bardzo przykro i że nie chciał mnie skrzywdzić, a ona nienawidzi go za to, co zrobił. Nic jednak nie wskazywało na to, że coś się wydarzyło. Nic się nie zmieniło. O trzynastej dziadek przyszedł na obiad, a matka zapytała, czy smakuje mu rosół. Siedziałam z nimi, a policzki paliły mnie od żalu. Nikt o mnie nie zawalczył, nikt mnie nie uratował. Byłam winna. Wszyscy się zachowywali tak, że trudno byłoby w to wątpić. Domem nadal rządził dziadek, właściciel i drugi tyran. Po zmarłej babci przejął panowanie nad rodziną. Ojciec większość czasu spędzał w pracy, a matka poddała się chorobie. Tamta historia całkowicie nas rozdzieliła. Wstąpiłyśmy na szlak, z którego nie było powrotu. Z dnia na dzień oddalałyśmy się jeszcze bardziej. Zwykle codzienne sytuacje wciąż uświadamiały mi, po czyjej stronie stoi matka. Dziadek był dla niej najważniejszy. Bez mrugnięcia okiem podjęła decyzję, że to ja poniosę ofiarę, w innym wypadku nasza rodzina mogłaby się rozpaść... a rodzina była przecież najważniejsza.

Na sąsiadujący peron wjechał opóźniony pociąg i po kilku minutach, kiedy podróżni przesiedli się zgodnie z planem podróży, wolno ruszył. Toczył się najpierw miarowo po torach, po czym prędkość wzrosła. Otwarte okna sprawiały, że huk kół uderzających o szyny był nie do zniesienia, ale zamknięcie okien groziło z kolei brakiem wystarczającej ilości tlenu. Powietrze było stężone i gorące, wizja burzy stawała się nieunikniona. Za dwie godziny powinnam dotrzeć do domu. Spotkam się z matką, którą kocham, chociaż nie przeczę, że nie jest to łatwa miłość.

Rozdział 15

Stała na dworcu. Widziałam jej jasne farbowane włosy, jeszcze zanim zdążyłam wstać z czerwonego siedziska. Ludzie tłoczyli się na peronie, a ona, jak zawsze, stała w oddali. Sama, ukryta w cieniu wielkiego dębu, z dala od realnego świata. Czułam jej niepokój, wiedziałam, jak obawia się sytuacji, kiedy wokół znajdują się ludzie. Nawet codzienne sprawunki załatwiała tuż po otwarciu sklepów, byle tylko uniknąć kontaktu. Swobodnie czuła się jedynie w domu albo na samotnych spacerach, gdy nikt jej nie widział. Musiało jej bardzo zależeć, skoro odważyła się przyjść na peron. Twarz miała skierowaną w stronę pociągu, z uwagą wpatrywała się w toczące się wolno wagony. Nie widziała mnie przez przybrudzone okna, ale wiedziała, że muszę być gdzieś we wnętrzu metalowej maszyny. Obiecałam przecież, że przyjadę.

Patrzyłam na nią i czułam żal. Wiedziałam, jak ciężkie miała życie, wiele przeszła, nie wspominając nawet o najgorszym – chorobie, którą toczyła jej głowa. I jeszcze ja przysparzałam jej ciągłych wyrzutów sumienia. Martwiła się, że zniszczyła mi życie. Choć wiedziałam, jak ciężko musi jej być, nie mogłam wypowiedzieć prostego zdania: „Mamo, nic się nie stało”. Nie byłam w stanie wydusić kilku zlepionych słów, nie potrafiłam uwolnić jej od przeszłości, za którą czuła się współwinna.

Pociąg skończył bieg, a pasażerowie tłoczyli się do wyjścia. Nie było ich zbyt wielu, ale wraz z licznymi, często nieforemnymi tobołami skutecznie blokowali przejście. Miałam tylko niewielki plecak wypełniony rzeczami, które kupiłam dla matki. Zawsze przywoziłam jej smakołyki, książki, niekiedy ciekawe ubrania, które udało mi się znaleźć w korzystnych cenach. Tradycja uszczęśliwiania bliskich prezentami funkcjonowała w mojej rodzinie od zawsze. Nie wiem, czy była to forma kupienia czyjejś wdzięczności, czy też uciszenie wyrzutów sumienia, bo w gruncie rzeczy najbardziej liczy się czas, który poświęcamy na relacje z drugą osobą. Rzadko pojawiałam się w domu, kontakt telefoniczny też nie należał do najlepszych, zatem prezenty były niejako próbą zrekompensowania matce mojej nieobecności. Każda z rzeczy była przygotowana specjalnie dla niej, nawet filiżanki z wzorem czerwonych maków, które tak kochała, nic nie było przypadkowe.

Sprawnym ruchem zarzuciłam plecak na ramiona i chwyciłam niewielką torbę podręczną. Chciałam jak najszybciej wyjść z pociągu i ją przytulić. Mocno. Bardzo mocno. Dopiero, kiedy ujrzałam jej sylwetkę, bezbronną i zagubioną, poczułam silną tęsknotę. Tęsknotę za matką, która została mi odebrana. Miałam wrażenie, że odkąd zmarła babcia, matka była mi zawsze trochę obca. Zazwyczaj bardziej mi jej brakowało, kiedy siedziała tuż obok, a ja miałam świadomość barier, które są między nami, niż w chwilach, gdy dzieliły nas setki kilometrów. Teraz, kiedy przypatrywałam jej się z oddali, czułam, jak daleko była przez te wszystkie lata.

Gdy mnie zobaczyła, pomachała energicznie ręką i uśmiechnęła się. Zupełnie jakby wszystko było dobrze, jakby nie dzieliły nas katastrofy w naszych zagubionych i okaleczonych głowach. Widziałam, że jest spięta w otoczeniu innych ludzi. Nie czuła się na siłach, by przekroczyć strefę komfortu i wyjść na spotkanie mknącego tłumu. Ruszała nogami w miejscu, ale nie wyłaniała się z cienia rzucanego przez stare drzewo. Kiedy do niej podeszłam, uściśnęła mnie mocno, ale dosyć krótko. Jak gdyby, mimo radości ze spotkania, nie mogła pozbyć się strachu, który tworzył jej umysł.

– Basiu, jak dobrze, że już jesteś. Nie widziałam cię ponad dwa miesiące – wypowiedziała jednym tchem, ale w jej głosie nie było żalu, raczej smutek, że sprawy wyglądają tak, a nie inaczej.

– Też się cieszę, że cię widzę. Tęskniłam za tobą – kiedy wypowiedziałam te słowa, które

same napłynęły, wiedziałam, że to mój wewnętrzny głos, że faktycznie brakuje mi matki, kiedy przestaję myśleć o nierozwiązanej przeszłości.

– Dobrze, że spędzimy kilka dni razem. Może uda nam się pójść na grzyby, byłoby miło, prawda?

– Oczywiście, mam – odpowiadam. I chociaż tak bardzo nie chciałam przyjeżdżać, naprawdę cieszę się, że jesteśmy razem.

– Zrobiłam twój ulubiony barszcz z uszkami. Wiem, że to dopiero wrzesień i do świąt jeszcze daleko, ale pamiętam, jak bardzo je lubisz. A kto ci robi barszcz z uszkami jak nie mama? – kontynuuje, śmiejąc się. – A, jest i ciasto czekoladowe według tego przepisu, które zawsze robiłyśmy na twoje urodziny. Tym razem zrobiłam z malinami, wciąż jeszcze są dostępne – mówi uradowana.

Szłyśmy z matką ramię w ramię. Jesteśmy tego samego wzrostu, więc widziałam jej twarz dokładnie. Jej blond włosy są tak naturalne w swym odcieniu, że trudno było uwierzyć, że są farbowane. Mimo wielu lat cierpienia jej postać jawiła się radośnie. Tylko oczy zdawały się kryć w sobie smutek trudny do pojęcia. Polna, nieco kręta droga prowadziła do domu pod lasem. Nie była długa, ale idąc nią, człowiek odcinał się od niewielkiego górskiego miasteczka. W górach wystarczyło przejść kilkaset metrów i świat ginął za pagórkami, dając upragnioną samotność. Po niespełna piętnastu minutach dotarłyśmy na miejsce. Rodzinny dom nie był aż tak odcięty od świata, nieopodal prowadziła asfaltowa droga. Matka czuła się tu bezpiecznie, z minuty na minutę stawała się coraz bardziej rozluźniona.

W domu pachniało suszonymi ziołami i jedzeniem. Matka przygotowała wiele smakołyków tylko po to, by sprawić mi przyjemność. Ledwie usiadłam do stołu, a już po chwili przyniosła ciepły barszcz z uszkami. Usiadła naprzeciwko i opowiadała historie z ostatnich tygodni. Słyszałam je już wcześniej w formie skrótowej podczas rozmów telefonicznych. Nastął czas, kiedy matka w końcu mogła mówić naprawdę. Aromat kwaskowego barszczu i grzybów rozchodził się po klimatycznej kuchni. Danie było wyborne. Dokładnie taki sam smak pamiętałam z dzieciństwa.

Przed oczami miałam te wszystkie momenty, kiedy matka, mimo przeciwności losu, próbowała mnie uszczęśliwić. Przygotowywała moje ulubione dania, przynosiła z lasu świeże jeżyny lub prawdziwie soczyste maliny. Takich chwil, gdy pokazywała mi swoją miłość, było wiele. Nie doceniałam tego. Byłam tak zapatrzona w złe wydarzenia i jej niewątpliwe błędy, że wymazywałam z pamięci wszystkie gesty, które jednoznacznie pokazywały, że mnie kocha. Nikt nie uczył jej miłości, a mimo to próbowała się przeciwstawić jednemu poznanemu w dzieciństwie modelowi rodziny. Nie było to łatwe, ale ona wytrwale próbowała. Korzystając z okazji, że byłam zajęta jedzeniem, opowiadała z zaangażowaniem, a jednocześnie uważnie mi się przypatrywała. Szukała w mojej twarzy znaków, które pozwoliłyby jej rozpoznać mój obecny stan. Zastanawiała się, czy ją obwiniam, czy w końcu uporałam się z własnym żalem? Być może ta część przeszłości przestałaby ją przytłaczać swym ciężarem.

Kiedy skończyłam barszcz, matka podała mi spory kawałek czekoladowego ciasta i zaparzyła dla nas czarną kawę. Byłam już pełna, ale nie chciałam robić jej przykrości. Dobrze wiedziałam, że wiele czasu poświęciła, żeby zgotować mi iście królewskie przyjęcie. Wypytywała o moje życie, o pracę, a ja opowiadałam jej o sprawach bez znaczenia, pomijając to, co było najważniejsze. Wyczuła chyba, że rozmawiam z nią jak z kimś obcym. Zapytała więc wprost:

– Jak się czujesz w związku z odejściem Adama? Pewnie musi ci być bardzo ciężko?

– Tak, mam, to mój przyjaciel. Dziwnie będzie bez niego – odparłam.

– Wiesz, Basiu, wiem, że to niełatwa sytuacja, ale może wraz z jego odejściem pojawi się

ktoś nowy. Nigdy nie wiadomo, co się w życiu przydarzy.

– Mamo, sęk w tym, że ja nie chcę, żeby pojawiał się ktoś nowy. Wiem, że jestem dorosła i muszę się z tym uporać, ale nie wyobrażam sobie życia bez Adama – powiedziałam, czując, że w oczach gromadzą mi się łzy.

– Basiu, życie nie jest sprawiedliwe. Dobrze o tym wiesz – matka wstała, żeby rozładować napięcie i pozwolić mi odetchnąć.

Obie dobrze wiedziałyśmy, że nie chodzi o przyjaciela, tylko o miłość mojego życia. Obie też miałyśmy świadomość, jak to się skończy. Nie było innej opcji. Matka nie chciała bardziej mnie zasmucać, za trzy tygodnie i tak miało nastąpić to, co nieuniknione. Nie mogła mnie ani przygotować, ani pomóc mi przez to przejść. Ze wszystkim radziłam sobie sama, więc i w tę drogę musiałam ruszyć samotnie.

Ciszę przerwało stukanie do okna.

– O, Motylek wrócił – powiedziała matka z radością w głosie.

Otworzyła drzwi balkonowe, a trójkolorowa kotka wbiegła do kuchni z impetem. Kilka lat temu matka uratowała Motylka przed śmiercią głodową. Nadchodziła zima, a mały kociak został wyrzucony z kotłowni jednego z sąsiadów. Matka bez słowa przygarnęła stworzenie, nadając mu imię z listy. Dawno, dawno temu, kiedy byłam małą dziewczynką, wymarzyłam sobie, że kiedyś będę miała pięć kotów. Miały nazywać się: Motylek, Czesław, Leon, Tygrysek i Dzwoneczek. Matka pamiętała to dziecięce marzenie i nazywała nowe znajdy według listy. Poza Motylkiem, największym rozrabiaką, był też Czesław, śpiący zapewne na jednym z foteli w moim dawnym pokoju, i Dzwoneczek, który nie wrócił jeszcze z podwórka.

Motylek spojrzała na mnie nieufnie, zupełnie jakby chciała powiedzieć, że skoro zostawiłam ją na tak długo, nie zasługuję na jej pieszczoty, i wskoczyła na kolana matki. Ugniotła miękką powierzchnię jej brzucha, pozwoliła się kilka razy pogłaskać i zeskoczyła, udając się w kierunku miski z przysmakami. Obrażona nie zwracała na mnie uwagi.

– Motylku, idź do Basi. Tak dawno jej nie było, a ty nawet się nie przywitasz – matka przejęła się, że kot zachowuje się zgodnie ze swoją naturą, nie zwracając uwagi na etykietę.

Uśmiechnęłam się na te słowa. Biedna matka, mimo skończonych sześćdziesięciu lat wciąż martwiła się, co poczuje jej ponadtrzydziestoletnia córka. Traktowała mnie jak małą dziewczynkę, którą dawno przestałam być.

Zbliżyła się do kota i przemawiała coś półgłosem, ale Motylek tak bardzo była pochłonięta jedzeniem, że nie zwracała uwagi na nic, co mieściło się poza zasięgiem jej wzroku. Motylek zawsze tak się zachowywała, potrzeba będzie kilku godzin, aż przestanie się boczyć i przyjdzie po należną dawkę pieszczot.

Zabrałam swoje rzeczy do pokoju na poddaszu. Na łóżku spał zwinięty Czesław. Duży, czarny kot stworzony do spania i głaskania. Nie miałam serca go budzić, więc delikatnie położyłam dłoń na jego grzbiecie. Spał jak zabity. Usiadłam tuż obok. Matka włączyła w salonie radioodbiornik i czekała, aż się przebiorę, by móc obejrzeć telewizję w moim towarzystwie. Brakowało jej mojej obecności, a ja, siedząc w dawnym pokoju, nie mogłam spokojnie cieszyć się chwilą, tym, że chociaż przez moment jest między nami dobrze.

Wyciągnęłam telefon, by napisać wiadomość: „Adam, zostało nam kilkanaście dni, nie licząc tych trzech, kiedy nie będziemy się widzieć”. Po chwili otrzymałam odpowiedź: „Basiu, wszystko się ułoży, zobaczysz. Będę do Ciebie przyjeżdżał. Nie martw się na zapas”. Czytałam SMS kilka razy. Pragnęłam uwierzyć w słowa, które tak szybko pojawiły się na wyświetlaczu. Wiedziałam jednak, że to tylko słowa, Adam nic nie mógł mi zagwarantować, niczego obiecać w obecnej sytuacji. „Boję się, że to koniec. Nie mogę przestać o tym myśleć” – napisałam, chociaż wiem, że nie powinnam mu tego powtarzać. „Basiu, Pierdoło moja... prawdziwa

przyjaźń nigdy się nie kończy! Zawsze mi to powtarzałaś, uwierz w to!” Poczułam ciepło na sercu, patrząc na telefon. Lubię, kiedy zwraca się do mnie tak poufale. Zawsze zarzuca mi, że zbyt dużo myślę, za bardzo wszystko analizuję, dlatego nazywa mnie „pierdołą”. „Napijemy się wspólnie kawy, jak wrócę do Wrocławia?” – piszę na zakończenie. „Z Tobą zawsze” – odpisuje Adam.

Kot przeciągnął się wybudzony ze snu i zmrużył oczy, jakby nie mógł uwierzyć, że znów mnie widzi. Tyle czasu minęło. Przewrócił się na drugi bok i zwinął w kłębek. To nie był odpowiedni czas na zakończenie popołudniowej drzemki.

– Basiu, film się zaczyna – krzyczy z dołu matka.

– Już idę, mamusiu – odkrzykuję zadowolona, że Adam jest tak blisko.

Rozdział 16

Mam wrażenie, że wszystko zmienia się nieomal w przeciągu minuty. Świat jest niby ten sam, a jednak nastrój zupełnie temu przeczy. Jakbym była innym człowiekiem niż ten, który przed godziną wszedł do pokoju. Nie umiem się podporządkować tej zmienności, nie jestem w stanie ułożyć algorytmu, który cokolwiek by wyjaśnił. Czasem wystarczy słowo, by w mojej głowie zaczęła tlić się nadzieja sięgająca nieba. Dokładnie tyle samo potrzeba, by zepchnąć mnie na sam skraj rozpacz. W ostatnich dniach wszystko jest takie chwiejne. Żyję każdym dniem, jak gdyby miał być tym ostatnim, a i tak nieustannie myślę o tym, jak będzie wyglądało moje życie za kilka tygodni. Nie umiem wyobrazić sobie pustki, która nastąpi. Obsesyjnie wręcz napędzam się destrukcyjnymi obrazami. Czekam na każdy jego znak, SMS, mail, telefon... a przede wszystkim na jego widok. I za każdym razem, kiedy Adam jest przy mnie, łudzę się, że to coś znaczy, że jego spojrzenie, ton głosu wyrażają uczucie, którego nie ma odwagi wyjawic. A później, kiedy jego obraz znika, kiedy zostaję sama, a odległość między nami wydaje mi się niemożliwa do pokonania, uzmysławiam sobie, że to tylko mrzonki, iluzja, która nie ma realnego potwierdzenia. Co gorsza, gdyby ta utopia okazała się prawdą, sytuacja byłaby tak samo tragiczna, jeśli nie gorsza, bo wtedy nie tylko ja bym cierpiała.

W przerwie na reklamy matka zadała mi pytanie. Nie chciała drażnić tematu pracy i, co się z tym wiązało, kwestii Adama. Interesowało ją, jak chciałabym, żeby wyglądało moje życie, o czym marzę. Ta ciekawość była uzasadniona, wiązała się ściśle z tematyką filmu, który oglądałyśmy. Prosta historia, która w amerykańskim stylu udowadniała, jak ważne jest dążenie do marzeń i ich realizacja. W telewizji wszystko jest o niebo łatwiejsze.

– Nie wiem, mamo. Chciałabym czuć się szczęśliwa. Tak po prostu, każdego dnia. Bez konkretnych planów czy osiągnięć. Nie wiem, czy jestem w stanie tego dokonać, ale wygodnie byłoby przestać tyle myśleć, a w zamian czerpać od życia to, co nam daje. Wedle możliwości. Zawsze chyba można coś dostrzec, nawet w najbardziej, wydawałoby się, jałowym życiu – odparłam.

– Masz rację. Tak byłoby najlepiej – matka urwała temat.

Nie wiem, czy przestraszyło ją to, że wspomniałam o braku szczęścia, czy porównawszy nasze życia, uznała, że jestem niewdzięczna, nie doceniając tego, co mam. Nie chciałam wiedzieć. Zdecydowanie wolałam nie poruszać trudnych tematów. Kiedy rozmawiałam z matką, proste były tylko rzeczy realne. W chwilach, kiedy nie rozmawiałyśmy, a opowiadałyśmy o wydarzeniach, ludziach, ciekawostkach czy przepisach, było spokojnie. Inne dysputy mogły nas zaprowadzić na niebezpieczne meandry, które od dawna stanowiły sieć nieporozumień między nami. Nie chciałam do tego wracać, matka też unikała tego jak ognia.

Miała teraz gorszy okres choroby, znów bała się wychodzić z domu, stany lękowe się nasilały. Była coraz bardziej bezbronna, ale od śmierci ojca wiedziała, że musi wytrwać. Musiała sobie poradzić, a to jedynie pogarszało jej poważny stan. Ja natomiast byłam tak bardzo pogrążona w przeżywaniu nieszczęśliwej miłości, że nic poza Adamem nie miało znaczenia w moim życiu. Pragnęłam spokoju, by móc w pełni przeżywać to, co obecnie stanowiło sedno mojej egzystencji. Adam rządził moim światem, a skoro pozwoliłam na to przez ostanie cztery lata, nie mogłam wyrzec się tego uczucia w ostatnim momencie. Za kilka tygodni wszystko się skończy. Nie będę mogła pokazać, jak bardzo mnie to boli. Tylko matka będzie zdawać sobie sprawę z tego, co przeżywam. Nie zapyta, ale będzie wiedziała, że jej jedyna córka ma złamane serce. Nie pierwszy, ale chyba już ostatni raz.

Przykułam wzrok w postaci migające na rozświetlonym ekranie. Matka podała mi

kawałek czekoladowego ciasta i kieliszek nalewki porzeczkowej. Było dobrze na tyle, na ile to możliwe. Nie czułam, że wspomnienia mnie przytłaczają. Po raz pierwszy od dawna nie byłam małą, rozżaloną ofiarą.

Na ścianie wisiało moje zdjęcie. Jasnowłosa dziewczynka uśmiechająca się zawadiacko. Od dawna próbowałam przekonać matkę, że czas zmienić fotografię, zostawić przeszłość za sobą, ale ona wciąż powtarzała, jak bardzo uwielbia to zdjęcie. Brakowało jej córki, bo chyba właśnie na tym zdjęciu po raz ostatni byłam jej małą, ukochaną córeczką. Nie miałam serca wspominać, że jej już nie ma. Tamta Basia nigdy nie wróci. Matka i tak by w to nie uwierzyła. Nie lubiła, kiedy mówiłam do niej w sposób niejasny, kiedy musiała się zastanawiać, co tak naprawdę próbuję jej przekazać. Nie zawsze jednak mogłam mówić wprost, nie wszystko było łatwe.

Dziewczynka ze zdjęcia miała jedenaście lat, zbierała kwiaty na łące nieopodal domu. To było jej ostatnie lato. Wczesną zimą zmieniło się wszystko. Odwróciłam wzrok od obrazu, przenosząc go na migające światełka w teleodbiorniku. Zawsze, kiedy patrzyłam na to zdjęcie, automatycznie włączało mi się niebezpieczne myślenie. Miałam dziwne uczucie, że ta mała, której twarz uwieczniono na fotografii, spogląda na mnie z wyrzutem, za każdym razem zadając te same pytania: „Dlaczego mi to zrobiłaś?”, „Dlaczego pozwoliłaś mi odejść?”. Dawno temu wierzyłam jeszcze, że może tamta dziewczyna kiedyś wróci, że jeśli zmienię coś w swojej psychice, dostrzegę inny świat i ucieknę z więzienia, które poniekąd sama stworzyłam, to uda mi się ją przywrócić. Nie będzie już jedenastoletnim dzieckiem, ale kimś lepszym i szczęśliwszym niż ja dzisiaj. Ciekawe, jak wyglądałoby jej życie? Kim byłaby prawdziwa Basia, taka, której nie odebrano duszy i nie okaleczono serca?

Umysł szwankował. Wiedziałam, że to mało realistyczne, ale czułam na sobie jej hipnotyzujący wzrok. Fotografia nie pozwalała o sobie zapomnieć. Matka nie wyczuwała mojego zaniepokojenia, nie mogła przewidzieć, że – zdawałoby się – tak błaha kwestia jak dawna fotografia, może obudzić we mnie lawinę myśli.

Film się skończył, a na stoliku nie było już śladu ciasta i nalewki. Zegar z kukułką przed kilkoma minutami wybił jedenastą. Dźwięk w telewizorze wzmocnił się o kilka tonów, a na ekranie pojawiły się reklamy. Migoczące, jaskrawe obrazy przez chwilę zdominowały ciemną przestrzeń. Matka ziewnęła kilka razy, po czym stwierdziła, że jest bardzo śpiąca i idzie się położyć. Ściągnęła z kolan śpiącego Czesława, który, nie wiadomo kiedy, usadowił się na jej nogach. Kot został na fotelu, niewzruszony zmianą miejsca. Nie miało to najwidoczniej dla niego żadnego znaczenia.

Odczekałam kilka chwil i też poszłam do łóżka. Przed snem jeszcze raz przeczytałam ostatnią korespondencję SMS-ową. Uśmiechnęłam się mimowolnie na samą myśl, że do mnie napisał. Liczyło się wszystko, co było z nim związane. Adam był jedyną osobą, od której nigdy nie kasowałam wiadomości. Czytałam je po kilka razy, napawając się każdym słowem. Jego odpowiedź: „Z Tobą zawsze” była ostatnią rzeczą, która zapadła mi w pamięć na chwilę przed zaśnięciem. Kilkanaście minut później błogo spałam. Nie pamiętam, czy śniło mi się coś tamtej nocy, ale wiem, że pierwszą osobą, o której myślałam tuż po przebudzeniu, był Adam. To przy nim zasypiałam i budziłam się niemal każdego dnia.

Rozdział 17

Matka siedziała w kuchni. Nasłuchiwała odgłosów dochodzących z piętra, na którym mieścił się mój dawny pokój. Dziś z rzadka odwiedzany, kiedyś był moim azylem. Obudziła się jak zwykle po godzinie szóstej, nakarmiła koty, wypija pierwszą kawę i trwała w zawieszaniu. Minuty mijały wolniej niż zwykle i nic, zupełnie nic nie zakłócało wszechobecnej ciszy. Czekala, aż drzwi pokoju się otworzą – to oznaczało, że wstałam i jestem gotowa na wspólne śniadanie. Gdy stawiałam pierwsze kroki na schodach, słyszałam już dźwięk kawiarki, którą nastawiała. Wiedziałam, że jak tylko pojawię się w kuchni, poda mi szary kubek z obrazkiem kota, w którym od lat pijam kawę, i zacznę szykować śniadanie.

Nigdy nie jadałam zaraz po przebudzeniu, ale wiedziałam, że matka, mimo mojej metrykalnej dorosłości, wciąż traktuje mnie jak dziecko, którym trzeba się zaopiekować. Nie chciałam studzić jej entuzjazmu i z przyjemnością zastosowałam się do jej oczekiwań. Cieszyła się, że poza kotami ma się kim zająć, ja natomiast korzystałam z troski, którą rzadko otrzymywałam od obcych. Ludzie samotni muszą przywyknąć do tego, że mogą liczyć tylko na swoje możliwości. Jeśli upadam, to zawsze mam świadomość, że sama będę musiała się podnieść. Takie są konsekwencje wyborów.

Chociaż odwykłam od obecności matki, doceniałam jej starania. Wiedziałam, że mnie kocha, że jestem dla niej ważna. To, że zawsze byłam zdana na siebie, że samotność i odrzucenie wrosły w moją osobowość, nigdy nie było jej celowym działaniem. Mimo to wciąż nie mogłam zbliżyć się do niej. Nie byłam w stanie zaakceptować losu, który stał się moim udziałem. I nieważne, że winni już nie żyli, ja wciąż zmagalam się z rzeczywistością.

Matka przygotowała jajka z lekko ściętym żółtkiem, warzywa i chleb z wiejskim masłem. Wciąż pamiętała o moich problemach z oczami, dlatego gdy tylko pojawiałam się w domu, faszerowała mnie witaminami, luteiną, rybami i fasolą w każdej postaci. Lekarze wprawdzie stwierdzili u mnie nienadającą się do leczenia wadę genetyczną, ale matka uważała, że moje problemy z siatkówką są wynikiem psychicznej traumy. Była przekonana, że mam okresowe problemy z widzeniem, bo nie chcę widzieć świata i ludzi, którzy skazali mnie na taki los. Kilka razy wspomniała o tym mimowolnie, sugerując, że jeśli spróbuję uporać się z przeszłością, to fizyczne objawy miną. Tylko jak tego dokonać? Jak odwrócić to, co się wydarzyło? Jak zmienić świat, w którym czułam się jak więzień? – byłam przecież więźniem jedynie własnej głowy.

– Musisz już dzisiaj wracać do Wrocławia? Nie mogłabyś wybrać kilku wolnych dni i zostać dłużej w domu? – zapytała matka.

– Mamo, muszę już wracać. Mam teraz dużo pracy. Jeszcze kilka tygodni będzie młyn – odparłam, nie patrząc na nią.

– Nie chcesz stracić dni przed jego odejściem? – zapytała.

– Tak, mamo.

Spoglądałam na nią i czuję, że oczy zachodzą mi łzami. Adam to mój jedyny przyjaciel, nie chcę go stracić.

– Kochanie, wiesz, że wszystko będzie dobrze. Może ta zmiana wcale nie będzie zmianą na gorsze – mówi, próbując mnie pocieszyć.

– Nie chcę, żeby odchodził. Wiem, że to dziwnie brzmi, wiem też, co sobie myślisz, mamo, ale nie wyobrażam sobie życia bez niego. Nie przeszkadza mi to, że ma dziewczynę i dziecko, ale nie mogę go stracić – czuję, że po policzkach zaczynają spływać mi łzy. Toczają się bez większej ochoty, jak gdyby i one wyrażały beznadziejność sytuacji, w której tkwię od dawna.

– Basiu, nic na to nie poradzisz. To i tak była kwestia czasu. Adam kiedyś musiał odejść –

kontynuuje matka.

– Kwestia czasu? Nigdy tak tego nie widziałam. Myślałam, że on już zawsze będzie ze mną pracował, że nie przestaniemy się przyjaźnić.

Matka, widząc, że płaczę, przytuliła mnie mocno. Nie chciałam już więcej o tym myśleć, nie chciałam mówić. Słowa i tak nic nie mogły już zmienić. Pozostawało czekać, aż nastanie koniec. Jeszcze kilkanaście dni i przyjdzie mi zmierzyć się z rzeczywistością. Światem, w którym nie będzie już Adama.

Dzwoneczek zaczął uderzać łapką w okno. Nie było go w domu całą noc i dopiero teraz wrócił. Matka wypuściła mnie z ramion, by otworzyć nocnemu wędrowcowi, a ja wykorzystałam ten moment, by uciec do łazienki i przepłukać zapłakaną twarz. Boże, niech to się wreszcie skończy! Ile czasu jeszcze będę się męczyć? – pomyślałam i wyszłam, by dokończyć śniadanie.

W kuchni matka przemawiała do kota. Głaskała wygłodniałe stworzonko, tuląc je czule. Panował spokój, całkowita zmiana nastroju, jakby mój przyływ emocji przeszedł do przeszłości. W moim domu nie drażyło się zbyt długo niewygodnych tematów. Z zasady unikało się ich albo zmieniano tory rozmów, tak by uniknąć niepokojących kwestii. Tym razem było mi to zdecydowanie na rękę, nie czułam potrzeby, by o tym mówić. Wyraźnie pamiętałam lata, w których bardzo pragnęłam, żeby ktoś z domowników mnie zapytał, co właściwie się ze mną dzieje. Nie chciałam wciąż słyszeć, że pewnie przyczyną mego smutku jest brak dogadania się z rówieśnikami albo fakt, że w przeciwieństwie do innych koleżanek jestem gruba. Pamiętam, jak w wakacje nie wychodziłam prawie z pokoju, byłam smutna i wciąż zapłakana, ale nikt o nic mnie nie pytał. Jak gdyby to wszystko było normalne, jakby każde dziecko unikało kontaktu i nie widziało sensu w życiu. Matka nie chciała znać prawdy, więc szukała najprostszych rozwiązań. Trywialny powód zawsze można było znaleźć, więc była ich niezliczona ilość. Czekałam trzynaście lat, by powiedzieć jej, jak bardzo boli mnie przeszłość. Prawda, której nikt nie chciał usłyszeć.

Reszta dnia upłynęła w przyjemnej atmosferze. Każda z nas próbowała uporać się z własnymi myślami, ale nie zakłócało nam to wspólnego obcowania. Wypiłyśmy wspólnie kawę, a później poszłyśmy do ogrodu zobaczyć, jak wygląda teren po nocnej ulewie. Przynajmniej powietrze było lekkie, temperatura wyraźnie spadła. Kontakt z naturą wydawał się o wiele przyjemniejszy, kiedy z nieba nie lał się żar.

Rozmawiałyśmy jeszcze trochę o zwykłych, codziennych sprawach. Obiecałam matce, że teraz będę przyjeżdżać częściej. Za kilka tygodni nastanie jesień i moja pomoc w domu będzie potrzebna, tym bardziej biorąc pod uwagę obecny stan matki. I chociaż etapów choroby nigdy nie dało się przewidzieć, miałam nadzieję, że po gorszych tygodniach nastąpi poprawa i sytuacja znów się unormuje. Przynajmniej na jakiś czas, miesiąc albo dwa. Może matka znów zacznie się naturalnie uśmiechać i dostrzegać jakiś sens w życiu, które pogrążone było w chaosie. Byłoby dobrze, gdyby lęk przed wychodzeniem z domu ją opuścił i nie utrudniał codziennego funkcjonowania. Musiała przecież sobie radzić na co dzień, móc swobodnie robić zakupy. Była sama i nie miała na kogo liczyć. Choroba trwale odsunęła ją od ludzi, a ona stawiała się coraz bardziej zamknięta w sobie. Wcześniej opowiadała, co jej dolega, jednak teraz, kiedy miała już pewność, że choroba nigdy jej nie zostawi, zupełnie przestała mówić o swoich lękach. Ludzie i tak najczęściej słuchają o czyjejs krzywdzie tylko po to, by móc w zaciszu własnego domu pocieszyć się świadomością, że w tym szarym, beznamiętnym życiu ktoś ma jednak gorzej. A nawet gdyby matce ktoś chciał pomóc, to jej dolegliwości były na tyle irracjonalne i podyktowane kapryсами zniszczonej podświadomości, że ciężko było zaakceptować trzeźwo patrzącym na świat sąsiadom, że to nie fanaberie, tylko najprawdziwsza w świecie choroba, której nie można zwyciężyć.

Wiedziałam też, że po wyjeździe Adama będę chciała uciec, by chociaż na chwilę skryć się przed światem. We Wrocławiu wciąż byłam czujna, niby zdawałam sobie sprawę, że szanse, iż go spotkam, są nikłe, ale wciąż go wypatrywałam. W rodzinnym mieście rzadko kiedy zachowywałam się w ten sposób. Czasem serce zaczynało bić mocniej, kiedy miałam wrażenie, że widzę jego sylwetkę, ale wizja ta szybko znikwała. Była zbyt mało prawdopodobna. Gdy Adam odejdzie, a ja przestanę go szukać w twarzach mijanych ludzi, na pewno będę częściej uciekać do matki. Od dziecka uciekałam, chowałam się przed światem. Łudziłam się, że może w innej rzeczywistości byłabym innym, szczęśliwym człowiekiem. Dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, że to, przed czym uciekam, już zawsze będzie ze mną. Nie mogę bowiem uciec przed własnym umysłem.

Późnym popołudniem matka odprowadziła mnie na dworzec. Znów szłyśmy wąską, krętą drogą, która tym razem była śliska od padającego nocą deszczu. Oberwanie chmury nadeszło zupełnie niespodziewanie. Wieczorem, kiedy siedziałyśmy w ogrodzie, niebo było przejrzyste. Z upływem czasu i wolno zapadającym zmrokiem na firmamencie pojawiały się małe lśniące punkciki. Patrzyłam na niebo, ale zamiast o gwiazdach rozmyślałam o przeszłości. O tym, że to, co teraz ukazuje się moim oczom, być może dawno już nie istnieje. Patrzenie w nocne niebo to zagłębianie się w przeszłość. Wydaje nam się, że widzimy światło w tej właśnie chwili, a to tylko obraz, który docierał do ziemi przez tysiące lat. I chociaż od zawsze fascynowała mnie astronomia, pomimo ewidentnej magii sytuacji, przez głowę wciąż przebiegał mi obraz Adama.

Wieczór zupełnie nie zapowiadał ulewy, która rozpoczęła się późną nocą. Słysząc było uderzenia kropel o falistą powierzchnię dachu, później już jednostajny huk. Przyroda nie musiała niczego wyjaśniać, ziemia była wdzięczna, że po długich dniach suszy i upałów pojawiła się ulga w postaci deszczu.

Matka od rana przebąkiwała, że tak niespodziewana ulewa mogła podmyć tory albo, dla odmiany, nocna wichura poczyniła szkody w drzewostanie, czyniąc trasy kolejowe nieprzejezdnymi. Pragnęła zatrzymać mnie na dłużej, ale wiedziała, że do czasu aż moje myśli tak bardzo skupione są na Adamie, nie ma szans, bym świadomie zrezygnowała z ostatnich wspólnych dni. Martwiła się o mnie, nie chciała, żebym kolejny raz przeżywała jego odejście, w jej głowie wciąż widniał obraz zrozpaczonej córki, która dowiedziała się, że jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała, będzie miał dziecko z inną kobietą. Wiedziała jednak, że jeśli udało mi się przeżyć tamtą sytuację, to i z jego odejściem z pracy jakoś sobie poradzę. Potrzeba było tylko czasu.

Szłyśmy powoli, by nie poślizgnąć się na zwałach błota, którymi pokryła się wąska ścieżka. Widać było połamane gałęzie, ale nie wydawało się, żeby nocna wichura dokonała zbyt wielkich uszkodzeń. Ot, mocny wiatr, który przez chwilę zapanował nad światem. Kiedy dotarliśmy w okolice stacji, matka przystanęła przy starym drzewie. Trwało majestatycznie, nietknięte przez pogodę. Uściskała mnie mocno i wyszeptowała cicho:

– Basiu, wszystko będzie dobrze. Przetrwiałaś tak wiele, przetrwasz i to. Z czasem wszystko się zmieni – próbowała mnie pocieszać.

– Kocham cię, mamó. Wiesz, że zawsze cię kochałam?

– Tak, Basiu, wiem. To nie było dla nas łatwe. Wiem, że cię zawiodłam i nigdy sobie tego nie wybaczę, ale nie potrafiłam postąpić wtedy inaczej. Bałam się tak samo jak ty.

– Wiem, mamó. Wtedy tego nie umiałam pojąć, teraz, po latach, wiem, że byłaś chora, nie umiałaś mnie obronić. Tak po prostu musiało być.

W oczach matki pojawiły się łzy, a i mnie niełatwo przychodziły takie wyznania. Obie wiedziałyśmy, że kochamy się ponad życie, ale miałyśmy też świadomość, że mimo wielu starań są sprawy, o których nie da się zapomnieć. Można zrozumieć, może nawet wybaczyć, ale nigdy

nie cofnie się wyrządzonych szkód. Przytuliłam matkę mocno. Czułam w ramionach ból, ale nie chciałam, by kiedykolwiek zapomniała, że kocham ją mimo wszystko. Tym razem nie wrywała się z moich objęć.

Kiedy z dworcowych głośników rozbrzmiała zapowiedź zbliżającego się pociągu do Wrocławia, ruszyłam szybkim krokiem. Przeszłam przez długie schody prowadzące ponad peronami i stanęłam na brukowanym chodniku z namalowanym białym pasem, oznaczającym bezpieczną odległość od nadjeżdżającej maszyny. Po chwili na peron wjechał pociąg. Maszynista wyhamował z gracją, a drzwi do wagonów otworzyły się. Usiadłam na twardym plastikowym siedzeniu i wpatrywałam się w przestrzeń pod dębem. Pociąg ruszył, a w oddali było widać ciemną postać z blond włosami, która energicznie machała na pożegnanie. Nie wiedziała nawet, czy ją widzę, czy jeszcze patrzę w jej kierunku, ale i tak wymachiwała podniesioną dłonią.

Kocham cię, mamo.

Rozdział 18

Pociąg sunął z wolna przez mokre torowisko. Bez pośpiechu, jakby w obawie, że za chwilę może wydarzyć się coś złego, nieprzewidzianego, na co należało uważać. Usunięto wprawdzie wszystkie zwalone na trasę konary, ale nie można było przewidzieć, czy któraś z uszkodzonych przez wichurę gałęzi nie runie wprost na toczącą się maszynę. Takie przypadki często się zdarzały, należało zachować największą ostrożność.

Sylwetka matki, ukryta w szarościach kończącego się dnia, szybko zniknęła mi z oczu. Na pewno wciąż jeszcze stała w miejscu, w którym się pożegnałyśmy. Znałam ją dobrze, wiedziałam, że ruszy w drogę powrotną dopiero w chwili, gdy po pociągu nie zostanie już nawet wspomnienie. Nie lubiła się żegnać i chociaż większość czasu nie przebywałam w rodzinnym domu, ciężko jej było zaakceptować, że jestem tak daleko. Obie czułyśmy, że nasz wspólny los został zapisany.

Ile lat jeszcze będzie mnie tak żegnać? Przygotowywać się godzinami do mojego przyjazdu, a później spoglądać, jak po zaledwie dwóch dniach pociąg, którym jadę, znika w oddali. Boję się momentu, w którym jej nie będzie. Boję się, że już jej nie powiem, jak jest mi bliska mimo tego, co wspólnie przeszłyśmy. Za każdym razem, gdy opuszczam rodzinny dom, myślę o tym, co mogłabym zrobić, żeby zmienić to, co między nami. A kiedy tylko dojadę do Wrocławia, zatapiam się w miejskim świetle. Nie czuję już jej miłości. Przypomina mi się tamta historia i lata, które przeżyłam w upokorzeniu, smutku i poczuciu winy. Nie wiem, czy istnieje większe poczucie zdrady niż to, na które skazuje dorosły dopuszczający się kazirodztwa. A później ta samotność, z której nikt nie chce cię wyzwolić. Nikt nie zadaje pytań, bo pytania prowadzą do odpowiedzi.

Dojeżdżam do Wrocławia i czuję gniew. Wiem, że matka nie mogła postąpić inaczej, ojciec chyba też nie, może nawet otepiały od alkoholu dziadek nie w pełni zasłużył na karę, ale ten żal jest częścią mojej duszy. Nie pozwala mi oddychać ani spokojnie spać. Nie umiem nad tym zapanować. Miłość do matki i wybaczenie to jedno, zapomnienie o przeszłości i wyeliminowanie z życia człowieka, którym mnie uczyniono, to już zupełnie inna kwestia.

Wysiadam z wagonu. Duży, oświetlony dworzec, po którym wciąż kręcą się podróżni, tętni życiem. Ludzie mijają się, mówią do siebie, wymieniają spojrzenia, czasem nawet uśmiechy... a ja czuję pustkę. Patrzę na obcych ludzi i tęsknię. Tęsknię za matką, którą opuściłam kilka godzin wcześniej, i za Adamem, który teraz najpewniej leży u boku ukochanej, który za kilka chwil zniknie bezpowrotnie. Chciałabym wyciągnąć telefon i móc do niego zadzwonić. Powiedzieć mu, jak bardzo mi go brakuje. Tak po prostu. Bez wyznań miłości czy prób zaburzenia jego rodzinnego życia. Przeraża mnie ta chwila, w której będę musiała pozwolić odejść swojemu najlepszemu przyjacielowi, nie mówiąc mu, że właśnie teraz umieram po raz kolejny. I nie chcę dłużej żyć, jeżeli on nie będzie już należał do mojego świata.

Ludzie przechodzą przez szeroki korytarz o żółtych ścianach. Ich drogi się przecinają, podążają do różnych miejsc, na jeden z dziesięciu peronów. Idą, rozmawiając o zwykłych sprawach – o konferencji lekarzy, o wizycie u chorej teściowej. Czas płynie spokojnie, bez zbytego pośpiechu. Właściwie nie dzieje się nic, co warte byłoby zapamiętania. Nic, o czym warto byłoby dyskutować. Tylko w mojej głowie demony walczą wytrwale, wyczuwając moją słabość. W końcu uda im się wydostać, kiedyś znajdą drogę do wyjścia. Boję się, że mój świat z każdą upływającą minutą coraz bardziej zbliża mnie do krawędzi. Nie ma nic, co mogłoby mnie ocalić. We własnym wnętrzu nie odnajdę siły, nikt obcy też mi jej nie da. Mało kto interesuje się moim losem i wiem, że sama na to zapracowałam, odsuwając od siebie wszystkich. Nie znają

mnie, a rzeczy, które są obce, nigdy nie budzą troski.

Rozdział 19

Noc była ciężka. Śniłam niespokojnie. Matka, Adam i Ewa nie chcieli mnie opuścić. Budziłam się wielokrotnie dręczona gonitwą myśli. Odzywały się we mnie wyrzuty sumienia, które za dnia skutecznie eliminowałam. Sama przed sobą tłumaczyłam się z własnego zachowania, nieustannie powtarzając, że nie mam wpływu na uczucia. A skoro nie mogę nad nimi panować, to nie mogę być winna tego, co czuję, zwłaszcza że byłam przekonana, że nikogo w gruncie rzeczy nie krzywdzę. Moje uczucia nie wychodziły poza moją głowę, a ja panowałam nad sobą.

Mimo to po nocy trudnych snów targaly mną wyrzuty sumienia względem matki, od której się odsuwałam i którą poniekąd wciąż karałam za winy, które nie były jej wyborem. Czułam się też winna wobec Ewy, dziewczyny Adama. Wiedziałam, że to, co czuję, nie powinno się zdarzyć, ale nie mogłam przestać. Tak samo jak nie potrafiłam wybaczyć matce, mimo wiedzy o jej przeszłości i chorobie, która determinowała jej działanie, tak samo nie umiałam odciąć się od miłości do Adama. Wiedziałam, że nie chcę go skrzywdzić, a już tym bardziej małego chłopca, który codziennie oczekiwał wracającego z pracy ojca.

Zamiast dorosłej, logicznie myślącej kobiety dominowała we mnie dziewczynka skrzywdzona przez świat, która za nic nie chciała pozbyć się prawa do miłości, bez względu na cenę, jaką inni mieli zapłacić. Nie chciałam oddać Adama, nie chciałam go puścić. Nie byłam w stanie przestać go pożądać, nie myśleć o jego męskim cielem i nie pragnąć, by stał się częścią mnie. Później mogłabym już umrzeć. Nic więcej na mnie nie czekało, tylko tego pragnęłam.

Rano, kiedy zegar wyrwał mnie z niespokojnego snu, czułam każdą cząstkę własnego ciała. Może tak właśnie objawia się ból istnienia, że człowiek psychiczne cierpienie zaczyna odbierać w aspekcie własnej fizyczności. Nie mogłam się pozbierać. Dłuższą chwilę zajęło, zanim udało mi się wstać i ruszyć do łazienki. Plecy bolały jak po silnym uderzeniu, jak zawsze, kiedy czułam, że utknęłam w matni. Tragizm sytuacji był mocno odczuwalny. Wyrzuty sumienia mieszały się z żalem, miłością i pożądaniem. Wiedziałam, że nie powinnam kochać Adama, a jednak nie potrafiłam wyperswadować sobie tego uczucia. Nie mogłam podjąć żadnej decyzji, nie byłam dość silna, by móc się odciąć. Dawno temu straciłam jedyną bliską osobę, własną matkę, teraz miałam stracić miłość życia. Mimo dwudziestu lat różnicy w obu przypadkach niełatwo było pogodzić się z sytuacją.

W pracy wpatrywałam się w monitor jak zaczarowana. Zamiast słupkom z liczbami, które musiałam uporządkować w trybie pilnym, przyglądałam się własnej twarzy, która odbiła się w ekranie. Na szczęście obraz nie był zbyt wyraźny. Zmęczenie i smutek, które jeszcze chwilę temu widziałam w lustrze, teraz, przykryte warstwą delikatnego makijażu, były o wiele bardziej znośne. Wyglądałam jak człowiek bez przyszłości, który ma wymalowane na twarzy, że nic go już nie czeka.

Zadrzałam. Na korytarzu słychać było kroki, na które dziś wyjątkowo nie czekałam, a przynajmniej tak sądziłam, do czasu aż nie pojawiły się znienacka i nie wywołały fali gorąca w moim ciele. Jest, zaraz tu będzie, mój Adam – pomyślałam, a wtedy on pojawił się w drzwiach.

– Cześć, Basiu. Jak minął weekend w domu? – zapytał.

Wystarczył jeden nieśpieszny ruch na obrotowym krześle, bym mogła spojrzeć w jego twarz. Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach blokował wejściowe drzwi. Z twarzy Adama bił blask, który mnie niepokoił. Było w tym nieco perfidii, ale gdzieś w głębi pragnęłam, by cierpiał tak jak ja. Może wtedy dostrzegłabym, że jednak mu zależy.

– A dziękuję. Bardzo dobrze – odpowiadam, bo nie mam ochoty zagłębiać się w poważne tematy.

– A jak czuje się mama? – kontynuuje.

– Hmm... ciężko powiedzieć. Nie jest tak źle, ale wiesz, ona nigdy nie będzie się czuła dobrze. Nie po tym, co przeszła.

Adam kiwa głową, jakby chciał wyrazić współczucie dla mojej matki. Zna dobrze szczegóły z życia mojej rodziny. W chwili, w której zdecydowałam, że zabiorę go do swojego świata, musiałam opowiedzieć mu całą historię. Nie tylko tę widzianą oczami nierozumiejącego nic dziecka, ale i tę obiektywną, która uwzględniała jako czynnik łagodzący dzieciństwo mojej matki, nerwicę lękową i determinujący ją strach. Bez tego nie byłoby całej historii.

– Coś się stało? Jesteś jakaś zmieniona – zapytał, wpatrując się we mnie dłuższą chwilę.

– Nie, Adaś, wszystko dobrze. Noc była dziwna, jakieś głupoty mi się śniły i ciągle się budziłam. Zmęczona jestem – dodaję zgodnie z prawdą.

Uśmiecham się do niego tak promiennie, jak tylko potrafię. Nie chcę okazywać smutku, nie chcę, by widział, jakie to wszystko jest dla mnie ciężkie, nie mogę mu przecież utrudniać.

Adam odpowiada uśmiechem, po czym znika w otchłani korytarza. Słyszę z oddali jego głos:

– O dziewiątej wpadnę na kawę.

– Będę czekać – odkrzykuję.

Obracam krzesło i wracam przed komputer. Wiem, że dopóki Adam nie odejdzie, w znaczącej mierze będę tylko fingować, że pracuję. Nie jestem przecież maszyną, by móc oderwać się od spraw, które mnie tworzą, i obojętnie przejść do kalkulowania słupków, które nie mają dla mnie znaczenia. Nie umiem, tak jak inni, dzielić życia na kilka części. Rodzina, praca, przyjaciele, pasje... mnie od zawsze determinowała sytuacja w rodzinnym domu, a od kilku lat dodatkowo beznadziejna miłość do Adama. Z pozoru wydaje się, że nie mam zaburzonej osobowości i potrafię odnaleźć równowagę, ale tak naprawdę tylko te dwie sprawy mają znaczenie. Reszta wypełnia mój dzień, chociaż nie wiążą się z tym żadne emocje. Praca jest po to, by przetrwać. Znajomi – by spróbować odnaleźć się w rzeczywistości, która zupełnie mi nie pasuje. Nie chcę zostać zdemaskowana, nie chcę, by ktoś wiedział, jak bardzo jestem inna. Najłatwiej jest schować się w przeciętności, tam nikt nie szuka.

Z rozmyślań wyrывa mnie głos Martynty. Koleżanka lekkim krokiem przemierza pokój – piękna, zgrabna, w zwiewnej zielonej sukience staje tuż przy mnie.

– Basiu, kupiłaś już coś dla Adama? Za trzy tygodnie w piątek organizujemy imprezę pożegnalną. Ustaliłam z nim termin. A ty, moja droga, jeśli potrzebujesz pomocy z zakupami, to daj znać. Chętnie pomogę – mówi Martyna melodyjnym głosem.

– Jeszcze nie robiłam zakupów, ale mam kilka pomysłów. Większość to rzeczy, o których Adam wspominał. Myślę, że sobie poradzę z prezentem, jest jeszcze trochę czasu. Będę się z tobą konsultować – odpowiadam.

– Basiu, wszystko w porządku? Jak ty się w ogóle czujesz? – Martyna wpatruje się we mnie z troską.

– Tak, wszystko ok. Wiem, że nie najlepiej wyglądam, ale w weekend byłam u mamy, wczoraj późno wróciłam, a na dodatek w nocy dręczyły mnie dziwne sny – odpowiadam.

– Basiu, nie pytam o zmęczenie – Martyna nie daje się tak łatwo spławić. – Tylko o to, jak się czujesz w związku z odejściem Adama. Przyjaźnicie się przecież.

– Nie wiem sama – odpowiadam. – Z jednej strony na pewno będzie mi go brakowało, przywykłam do jego codziennej obecności. Z drugiej strony Adam zmienia pracę, żeby realizować swoje marzenia. Nie mogę go przecież zatrzymać.

– Wiesz, Basiu, mi jest trochę smutno, że Adam odchodzi. Nie lubię zmian, a jego bardzo polubiłam.

– Adama nie da się nie lubić – mówię z uśmiechem.

– To fakt – stwierdza Martyna, wychodząc z mojego biura.

„Adama nie da się nie kochać” – tak prawidłowo powinno brzmieć to zdanie, ale nigdy nie odważyłabym się wypowiedzieć go na głos. Nie mogę przecież wyznać, że go kocham. Teraz, kiedy ma dziewczynę i dziecko, jest już o wiele za późno.

Okłamałam Martynę. Nie tylko w kwestii moich uczuć związanych z odejściem Adama. Nie powiedziałam jej, że prezent już jest. Nie chciałam, by wiedziała, że jest to dla mnie tak ważne, że od dawna mam wszystko przemyślane. Właściwie to są nawet dwa prezenty. Jeden od pracowników biura – składający się z książki, kursu językowego, pamiątkowego zdjęcia w ramce i kilku innych drobiazgów mających przypominać Adamowi o czasie spędzonym z nami. Drugi prezent jest tylko ode mnie. Nie musiałam się długo zastanawiać, dobrze wiedziałam, co chcę mu podarować. Czuję w środku, że to już koniec. Iluzja, którą żyłam w ostatnim czasie, pryska. Muszę się z nim pożegnać, jak gdybym już nigdy więcej miała go nie zobaczyć, tak jakby świat miał się skończyć – nie wiem, czy to czarnowidztwo, czy wewnętrzna intuicja. Adam często powtarza, że będziemy się widywać w weekendy, gdy przyjedzie do Wrocławia. Mimo to gdzieś w głębi serca czuję, że to są ostatnie nasze dni. Moje życie nie będzie już takie samo bez Adama. Nic już nie będzie takie jak dotychczas.

Rozdział 20

Ostatnie dni miały niewyobrażalnie szybko. Wstawałam rano, a później nagle zapadała noc. Czułam, jak mało zostało mi czasu. Wszystko zmierzało ku końcowi. Nocą budziłam się, płacząc. Czasem przez godzinę potrafiłam szlochać, bojąc się tego, co ma nastąpić. Nie wiedziałam, czy będę w stanie żyć dalej, ale miałam świadomość, że ani nie mogę wyznać mu prawdy, ani tym bardziej nie ma możliwości, by go zatrzymać. Myślałam, jak to możliwe, że nieustannie drążę ten sam temat, ile czasu mogę tak umierać z miłości. Przecież to niedorzeczne, wręcz absurdalne. Życie musi jakoś się toczyć, a uczucia przecież kiedyś muszą minąć. Nieważne, jak bardzo będzie bolało, będę musiała zaakceptować sytuację. Nie ma innej opcji.

W ciągu dnia uśmiechałam się tylko w momentach, kiedy Adam przychodził do mojego biura na kawę. Siadaliśmy na starych fotelach, a z filiżanek unosił się intensywny aromat świeżo zalanej malej czarnej. Patrzyliśmy na siebie, jakby chcąc zapamiętać jak najwięcej szczegółów z twarzy przyjaciela. Nie mówiliśmy o rozstaniu, tylko czasami, kiedy ni stąd, ni zowąd pojawiały się dalekobieżne plany, nagle trzeba było zastopować rozmowę. Te scenariusze nie miały racji bytu. Nie dla nas. Nie w tym życiu.

Staraliśmy się zachowywać, jakby to były zwykłe dni, a nie zbyt długie oczekiwanie na rozstanie. Rozmawialiśmy o sytuacji w pracy, o filmach i ciekawych książkach. Zupełnie jak gdyby te rozmowy nie miały się nigdy skończyć. Tyle było jeszcze do powiedzenia, tyle myśli, o których chciało się porozmawiać, tyle niewypowiedzianych słów, które powoli stawały w gardle jak połknięta przypadkiem ość. Patrzyłam w jego oczy i nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Oddałabym życie, byle tylko z nim być. Nie potrafiłam zacząć myśleć logicznie. Nie liczyło się nic poza miłością.

W pracy starałam się zachowywać pozory normalności, ale kiedy tylko zamykałam drzwi od mieszkania, zaczynałam płakać. Łzy same ze mnie wypływały, nie byłam w stanie nad nimi zapanować, nie wiedziałam, dlaczego jest ich aż tyle! Nocą budziły mnie sny. Zasypiałam, płacząc – wykończona ciągnącym się dramatem. Godzinami przeglądałam wspólne zdjęcia i wciąż się zastanawiałam, czy nasza historia mogła mieć inne zakończenie. Czy przegapiłam właściwy moment? I czy, gdyby nie moja traumatyczna przeszłość, byłabym teraz innym człowiekiem? Może zamiast Ewy to ja byłabym u jego boku.

Zegar bezlitośnie odmierzał czas, a ja tkwiłam uwięziona w matni. Chciałam, żeby to się już skończyło. Byłam wykończona rozpaczą i smutkiem. Nie mogłam dłużej funkcjonować w takim zawieszeniu, nie wiedząc już zupełnie, co jest prawdą, a co powstało jedynie w mojej głowie. Tak jak bardzo nie chciałam, żeby Adam zniknął z mojego życia, tak mocno pragnęłam ulgi. Dobijało mnie oczekiwanie i niepewność, co wydarzy się później. Jak będzie wyglądał mój świat bez Adama.

Wysłałam mu maila.

„Adamie, zostały nam jeszcze tylko cztery dni. W piątek będziesz ostatni dzień w pracy, Twoje pożegnanie, później wyjedziesz, znikniesz z mojego świata. Wiesz, że jesteś i zawsze już będziesz moim najlepszym przyjacielem. Pomogłeś mi uporać się z dawnymi demonami, zmieniłeś moje życie na lepsze. Mam świadomość, że nie mogę Cię powstrzymać i chociaż sama myśl o tym, że Cię stracę, łamie mi serce, wiem, że tak po prostu musi być. Jako Twoja przyjaciółka muszę akceptować wszystkie Twoje wybory, bez względu na to, jaki wpływ mają na moje życie. Takie jest nasze przeznaczenie, nie możemy go zmienić.

Chciałabym, żebyś znalazł dla mnie pół godziny po pracy, żebyśmy mogli napić się kawy i pożegnać. To nasze ostatnie chwile i chcę mieć szansę na prawdziwe pożegnanie, tylko to mi

zostało”.

Po niespełna dwudziestu minutach na skrzynkę pocztową przysłała odpowiedź. Adam napisał, że wszystko będzie dobrze, żebym się nie martwiła. zaproponował kawę w czwartkowe popołudnie, na dzień przed oficjalną imprezą w biurze.

Usiadłam przy stoliku i zaczęłam pakować prezent, który dla niego przygotowałam. Nie chciałam, by o mnie zapomniał. Bałam się, że kiedy tylko wyjdzie z biurowca, odpłynie do innego świata. I to, co dziś wydaje się szczerą przyjaźnią, jutro przestanie mieć jakąkolwiek wartość. W nowej pracy czekało na niego wiele wyzwań, nowi znajomi. A kiedy skończy realizować obowiązki służbowe, wróci do domu, gdzie będą na niego czekać ukochana Ewa i synek. To oni stanowili teraz cały jego świat. Ja nie byłam najważniejszym elementem. Być może nawet nie byłam nikim znaczącym. Nie umiałam tego określić, bo często słowa Adama były odmienne od jego działań. Mówił mi, jak wiele dla niego znaczę, jak jestem wyjątkowa, a później uciekał w ramiona innej kobiety, zapominając o moim istnieniu. Dziwna była ta nasza relacja, a najgorsze, że chyba tylko ja w tym układzie nie umiałam się właściwie ustawić. Oddałabym za niego wszystko.

Poza pracą, która nie przynosiła mi satysfakcji, pozornymi kontaktami z ludźmi, miałam tylko matkę. Wiedziałam, że w jakimś stopniu mogłam na nią liczyć i że kochała mnie szczerze, a jednak dopiero w jej obecności czułam, jak bardzo jestem samotna. Dojmująca obcość wpływała z mojej duszy i nie pozwalała mi złamać dawno wytworzonych barier. Miłość nie wystarczała, byśmy zapomniały o przeszłości.

Uczyliłam Adama całym swoim światem, a on odchodził. Jedynym sensem każdego zwykłego dnia była myśl o nim. Teraz musiałam z tego zrezygnować.

Rozdział 21

– Mamo, jest mi bardzo ciężko. Nie mogę przestać płakać, tak bardzo boję się, że już go więcej nie zobaczę.

– Basiu, dziecko kochane, tak mi przykro, że cię to spotyka, ale nie ma innego rozwiązania tej sytuacji. Kochasz go tak bardzo, ale on ma już rodzinę. Ma synka, za którego musi wziąć odpowiedzialność. Najlepiej będzie dla ciebie, jeśli Adam odejdzie.

– Mamo, dlaczego ja zawsze muszę być sama? Od małego byłam sama, najwyraźniej taki los jest mi pisany – szlocham, nie mogąc pogodzić się z myślą, że Adam nigdy nie będzie mój. – Mam świadomość, że to niemoralne i złe. Wiem, że dziecko i rodzina są najważniejsze, a człowiek musi brać odpowiedzialność za swoje czyny. Najgorsze, że wiem też, że oddałabym i zrobiła wszystko, by Adam był ze mną.

– Córeczko, życie nie jest sprawiedliwe. Nic na to nie poradzisz. Ja całe życie muszę cierpieć, bo urodziłam się w niewłaściwym domu. Rodzice nie dość, że zniszczyli mój świat, to jeszcze wpłynęli na nasze relacje. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Na los nie ma rady – uspokaja mnie matka.

– Mamo, ja go kocham... tak bardzo go kocham. I nawet nie mogę mu tego powiedzieć. Serce mi pęka na myśl, że zobaczę go jeszcze tylko dwa razy. A później zniknie i ja nie mogę tego zmienić.

– Basiu, tak wiele przeżyłaś i udało ci się przetrwać. Rozstanie z Adamem też przeżyjesz. Minie trochę czasu i spojrzysz na sprawę z innej strony. Nie masz innego wyboru. Ludzie nie umierają ze smutku czy tęsknoty.

– Mamo, tak bardzo się boję. Mam wrażenie, że nigdy tak mocno się nie bałam, nawet kiedy byłam mała. Wtedy miałam nadzieję, że kiedyś to się zmieni, że zacznę żyć inaczej, że może uda mi się wrócić do normalności. A dziś straciłam już nadzieję, nie potrafię się ludzi, nie umiem udawać, że jeszcze będzie dobrze, że to nie jest koniec mojego świata.

– Dziecko, wiem, że to żadne pocieszenie, ale tak wielu ludzi rozpacza z powodu niespełnionej miłości. Masz dużo emocji w sobie, ale czas to zweryfikuje. Zmieni twoje uczucia, czy tego chcesz czy nie. To się po prostu stanie pewnego dnia.

– Mamo, ale to jest moja miłość. To jest jedyna rzecz, której w życiu pragnę, nic więcej mnie tu nie trzyma. Nic poza Adamem – mówię, a słowa z trudem przechodzą przez gardło.

W tych trudnych dniach coraz częściej zwracam się do matki. Nie jestem w stanie poradzić sobie sama ze sobą, a matka chce mi pomóc. Matka dobrze wie, kim Adam jest w moim życiu i jak wielki ma na mnie wpływ. Nie neguje mojego zachowania, nie potępia moich uczuć do zajętego mężczyzny i nie próbuje wyperswadowywać pragnień, które mnie determinują. Słucha cierpliwie, licząc na to, że może wypowiedzenie na głos trudnych kwestii pomoże mi uporządkować chaotyczny świat. Ma świadomość, jak bardzo muszę cierpieć, ale mimowolnie dumą napawa ją myśl, że w trudnych chwilach się do niej zwracam. Oznacza to, że wciąż w nią wierzę, że może częściowo odkupi swoje winy, tym razem okazując mi wsparcie. Zawiodła jako matka, to odbiło się echem na całej mojej przyszłości. Od tamtych wydarzeń obiecała sobie, że już nigdy nie podejmie złej decyzji. Nieważne, że będzie to dla niej trudne. Nie poświęci swojego jedyne dziecko kosztem spokoju ogółu. To już się nie zdarzy.

Instynktownie szukam wsparcia. Poza matką jedyną bliską osobą jest Adam. Jemu nie mogę powiedzieć o miłości, która mnie spala od wewnątrz. Nie mogę powiedzieć, że nie chcę żyć, jeśli jego już nie będzie. Układam w myślach scenariusz naszego spotkania. Chciałabym się pożegnać. Zakończyć naszą wspólną przeszłość, bo wiem, że teraz wszystko ulegnie zmianie.

Nawet jeśli spotkam go jeszcze kiedyś, to nigdy między nami nie będzie już takiej bliskości. Nie będzie już nas.

Rozdział 22

W czwartek Adam nie pojawił się w pracy. Wsłuchiwałam się w kroki pojawiające się na korytarzu, ale jego nie było. Pół nocy nie spałam, myśląc o tym, co chcę mu powiedzieć, jak spędzić ostatnią godzinę tylko we dwoje na dzień przed oficjalnym pożegnaniem. W płóciennym torbie przyniosłam prezent, który misternie szykowałam dla niego od tygodnia. Popołudniami przeglądałam wspólne fotografie, by przygotować sentymentalny album. Wiele łez mnie to kosztowało, bo wciąż przypominałam sobie momenty z naszego wspólnego życia. Niby nic się nadzwyczajnego nie działo, zwłaszcza że zdjęć spoza biurowca było niewiele. Nawet jeśli wychodziliśmy gdzieś razem na początku naszej znajomości, to nikt tego specjalnie nie fotografował. Nie było takiej potrzeby, bo wtedy myśli o rozstaniu zupełnie nie przychodziły do głowy. Nie wiem, sądziłam chyba, że wspólny czas nigdy się nie skończy. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że jakaś kobieta czy praca odbiorą mi go bezpowrotnie, a ja bez słowa sprzeciwu czy jakiegokolwiek walki oddam sens swojego życia. Nie miałam przecież wyboru.

Zaniepokoiła mnie jego nieobecność. Liczyłam, że ten dzień będzie nasz, poza tym obiecał mi wspólną kawę. Mieliśmy pożegnać się tak naprawdę. Tak jakby świat miał przestać istnieć. W pewnym sensie tak właśnie było. Nie wiedziałam, czy powinnam się martwić, bo coś się stało, czy też odczuwać zawód, że Adam kolejny raz wybrał coś ważniejszego ode mnie. Dla niego było to naturalne. Musiałam przestać sobie wmawiać, że gdyby nie sytuacja, to między nami byłoby inaczej. Musiałam zbudzić się ze snu, ale ślepa miłość nie pozwalała mi uwolnić się z tych więzi.

Około wpół do dziewiątej dostałam od Adama SMS, że nie dotrze do pracy. Okazało się, że w nowej firmie musiał dopełnić formalności, poza tym to był najlepszy moment, by przygotować służbowe mieszkanie na przyjazd rodziny. Przeprosił za to, że nie uda mu się zabrać mnie popołudniem na umówioną wcześniej kawę, ale dopisał, że pożegnanie nie jest nam potrzebne, bo będziemy się widywać. Następne spotkanie zaproponował na termin przypadający za dwa tygodnie. Miał wtedy przyjechać do rodziców.

Adam nie rozumiał, co dzieje się w mojej głowie. Dla niego liczyła się przyszłość, nowe wyzwania i całkiem nowe życie, ja natomiast nie byłam w stanie rozstać się z przeszłością. Dla mnie przyszłość nie istniała. Od dwóch dni już nie płakałam, obudziłam się wtedy rano i poczułam się zamrożona wewnątrz. Tak jak gdybym podświadomie przygotowywała się na ostatni wspólny dzień. Musiałam być silna, poza tym nie wiem, czy po tylu tygodniach płaczu mogłam wykrzesać z siebie jeszcze jakieś emocje. Musiałam to po prostu przeżyć, a później pozwolić sobie na żałobę, kiedy Adama już przy mnie nie będzie. Może czas zacznę leczyć moje złamane serce.

Zamyśliłam się, patrząc w monitor komputera. Nie wiedziałam już sama, co powinnam zrobić. Planowałam powiedzieć Adamowi o swoich uczuciach. Nie dlatego, że to by coś zmieniło, ale dlatego, że chciałam, by wiedział. Nie mogłam rozstać się z nim ostatecznie w kłamstwie, które od lat trawiło moją duszę. Wiedziałam dobrze, że mimo tego, co obiecywał, wszystko między nami było już skończone. Musiałam mu powiedzieć, by zakończyć ten etap właściwie. Nie mogłam go przecież tym skrzywdzić, bo jego zachowanie latami świadczyło o tym, że Adam nie czuje do mnie niczego więcej niż głęboka sympatia i przywiązanie. Łudziłam się, że jest inaczej, bo kochałam go szalenie. Miłość nie oczekuje prawdy, ale nadziei. Moja przestawała mieć rację bytu. Nie mogłabym skrzywdzić małego chłopca, odebrać Piotrusiowi ojca. Nie mam jednak pewności, jak zachowałabym się, gdyby Adam wyznał mi miłość, gdyby zaproponował mi znacznie więcej niż przyjaźń. Łatwo było oceniać swoją moralność, kiedy nie

dostało się wyboru. Adam mnie nie chciał. Nigdy nie potrzebował mnie jak kobiety. Nie musiałam więc borykać się z dylematami moralnymi.

Czy to możliwe, żeby tak wielka miłość była tylko iluzją? Wymyśliłam sobie tę naszą więź, naszą bliskość? Z mojej strony uczucie było silne, momentami wręcz obsesyjne, ale czy dla niego miało to znaczenie?

Znam Adama, który ze mną pracuje. Spędzam z nim maksymalnie godzinę dziennie i roszczę sobie prawa do jego duszy. Nie wiem, kim jest, kiedy wychodzi z biura. Jak zachowuje się w samotności, jaki jest w domu, dla syna, ukochanej. Kim jest człowiek, któremu stworzyłam całą historię, który stał się moją religią.

Nie, nie mogłam mu powiedzieć. Nie teraz. Muszę dać mu prawo, by odszedł. Nie wiem, kogo tracę tak naprawdę, zaczynam wątpić w rzeczywistość. Nie mogę mieć też pewności, czy subiektywny obraz stworzony w mojej głowie jest cokolwiek wart. Nigdy nie wejść w umysł Adama i nie dowiem się, kim dla niego byłam i co jego zdaniem wydarzyło się między nami.

Rozdział 23

Następnego dnia odbyło się oficjalne pożegnanie. Wzruszające i pełne ciepłych słów. Znajomi z pracy dołożyli wiele starań, by ten dzień był wyjątkowy. Siedzieliśmy w sali konferencyjnej, jedząc ciasto upieczone przez Ewę, piliśmy kawę i wspominaliśmy najciekawsze momenty wspólnej pracy. Pod koniec spotkania Adam dostał prezent składający się z: kursu do nauki języka angielskiego, książki, która miała pomóc rozwinąć mu menadżerskie umiejętności, a także grupowego zdjęcia całego zespołu, które wywołało w nim wiele emocji. Przedstawiało pracowników podczas zeszłorocznego przyjęcia świątecznego. Byli niemal wszyscy, ubrani elegancko, w najbardziej odświętne stroje. Staliśmy z Adamem po prawej stronie, nieco odsunięci od reszty grupy, skupieni na rozmowie. Zawsze byliśmy nieco na uboczu, nie chcąc tracić tego, co najważniejsze – nas samych.

Koledzy życzyli Adamowi, by nowa praca przyniosła wiele satysfakcji, by mógł dalej się rozwijać. Wielu wspominało o sukcesach finansowych i powodzeniu w życiu rodzinnym. Zachęcali do odwiedzin, mówiąc, że zawsze będzie u nas mile widziany, ale chyba każdy wiedział doskonale, że Adam już nie wróci. Odejdzie do innego świata, a my zostaniemy jedynie wspomnieniem.

Na biurku Adama zostawiłam osobisty podarunek, który dla niego robiłam. Album ze zdjęciami, wspólnymi wspomnieniami, wycinkami z naszych e-maili i SMS-ów. Całe nasze wspólne życie umieściłam na skrawkach papieru. Kiedy o tym myślałam, wydawało mi się, że tak wiele między nami wspomnień, ale gdy zaczęłam je uporządkowywać, by zrobić album, okazało się, że poza rozmowami nie było niczego, co można by wspominać. W ciągu czterech lat jedna wycieczka w góry, kilkanaście wyjść na pizzę, czasami do kina, a najczęściej na kawę, żadnych więcej wspomnień niezwiązanych z wspólnymi rozmowami. Wspólne powroty do domu i zakupy w sklepie spożywczym. Tak wyglądała miłość mojego życia. Łączyły nas słowa i myśli, nic realnego i namacalnego.

Kiedy Adam rozpakował prezent, w jego oczach pojawiły się łzy. Wstał bez słowa i mocno mnie przytulił. Trwało to dłuższą chwilę, a uścisk był silny jak nigdy przedtem. Kiedy mnie wypuścił z objęć, zrozumiałam, dlaczego trwało to tak długo. Adam nie chciał pokazać spływających po policzkach łez. Nie mógł się powstrzymać, a nie przywykł do okazywania słabości.

– Basiu, to jeden z trudniejszych dni w moim życiu – powiedział Adam, spoglądając mi głęboko w oczy. – Wiedziałem, że ciężko będzie odejść, ale nie przypuszczałem, że aż tak... skąd mogłem wiedzieć. Bałem się tego momentu, dnia, w którym będziemy musieli się rozstać.

Wiem, że już jest za późno. Nie ma sensu mówić o swoich uczuciach. Nie zmienię już niczego, a nie mogę zasmucać go jeszcze bardziej. Adam przede wszystkim jest moim przyjacielem, powinnam go wspierać. Czas pożegnać miłość, która zawsze już będzie w moim sercu. Muszę rozstać się z mężczyzną mojego życia. Nie mam innego wyboru.

– Adam, wszystko będzie dobrze. Całe życie przed tobą – mówię, chociaż czuję, jak pęka mi serce. Ból jest fizyczny.

Adam znów przytula mnie mocno. Nie widzę jego twarzy, ale czuję bliskość. Jest częścią mojego ciała, fragmentem mojej duszy. W tej ulotnej chwili jest tylko mój.

Dzwonek telefonu burzy nasz spokój. W biurze nie ma już nikogo, zostaliśmy sami. Adam wycisza głośność. Widzę na wyświetlaczu imię kobiety, która mi go odebrała, ale tym razem nie jestem zła. Przez kilka najbliższych minut jest tylko mój. Chłonę wszystkimi zmysłami jego ciało, zapach i dotyk. Musi mi to wystarczyć na resztę życia, bo już za chwilę zniknie

w innym świecie. Świecie, do którego ja nigdy nie będę miała wstępu.

Rozdział 24

Kroki na korytarzu ucichły... Wpatrywałam się w ekran monitora i wciąż nasłuchiwałam. Umysł podpowiadał mi, że już więcej nie usłyszę odgłosu jego kroków, które przez ostatnie lata wyznaczały rytm mojego dnia. To była rzeczywistość, którą musiałam zaakceptować. Mimo to każdy dźwięk otwieranych w korytarzu drzwi wywoływał we mnie silne napięcie. Czekałam, łudząc się, że jego odejście okaże się jedynie snem. Nie wiedziałam nawet, dlaczego tak bardzo pragnę jego powrotu...

To nie było logiczne, wręcz przeciwnie... ale co właściwie w życiu jest logiczne? Żyjemy, nie wiedząc po co, a umieramy z panicznym strachem, jakbyśmy tracili dar, którego nigdy tak naprawdę nie dostrzegaliśmy... paranoja.

Inne, systematycznie pojawiające się w korytarzu kroki były wciąż takie same, brakowało tylko tych, których echo tak silnie zapisało się w mojej pamięci.

Patrzyłam w przesuwane się przed oczami obrazy i wiedziałam z tęsknoty. Nie chciałam, by tak było. Wiedziałam, że nie wolno mi tęsknić, a jednak świadomość, że jego kroki się nie pojawią, budziła we mnie nostalgię...

Nie wiem nawet, czy chodziło o to, że te dźwięki były tak charakterystyczne, tylko jemu przypisane, czy też o fakt bezpowrotnej straty. Zmieniło się coś. Zmieniło się wszystko... a ja nie mogłam tego kontrolować, nie miałam na to wpływu.

Nikt mnie nawet nie zapytał, czego ja chcę, czy godzę się na to, by odszedł na zawsze.

Odgłos tych kroków obudził mnie kilka razy w nocy. Były takie silne i zdecydowane... Kiedy jednak uświadamiałam sobie, że to tylko sen, odczuwałam przejmujący smutek. Strata przyjaciela boli jak wycięcie kawałka serca. Nie można go zastąpić ani wlać innej czułości...

Los ze mnie kpił, przywołując wspomnienia przeszłości, a ja marzyłam, by przestać słyszeć dźwięki, które w realnym świecie nie mogły już do mnie powrócić. Na to było już za późno...

Z czasem kroki były coraz słabsze, aż w końcu przestał przychodzić nocami...

*

Siedzę przed monitorem i słyszę różne odgłosy rozchodzące się po korytarzu. Rozpoznaję je, ich siłę i charakter. Zawsze wiem, do kogo należą.

Nie wyczekuję już, że pojawią się te, których melodia była mi najbliższa. Wiem, że już nigdy więcej ich nie usłyszę...

Przyjaciel

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-101-5

© Basia Karolewicz i Wydawnictwo Novae Res 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczytanie jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Agnieszka Filosek

KOREKTA: Agnieszka Jedziniak

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczty.pl.



BASIA KAROLEWICZ

Przyjaciel

NOVAE RES